NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW. UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. | Kraków, 11 lutego 1905 r. | Nr. 7.

Gwałty żołdactwa na ulicach Warszawy.

(Do artykułu na str. 2).



Gwałty żołdactwa na ulicach Warszawy. Napad kozaków na konsula angielskiego w Warszawie. — Walka wyborcza na Węgrzech. — Demonstracya robotnicza na Rynku w Krakowie. — Kozacy w drukarni „Gońca“ w Warszawie. — Pogrzeb artysty dramatycznego Władysława Romana we Lwowie. — *Wojna rosyjsko-japońska.*



Kozacy w drukarni gazety: Zecerzy redakcyi „Gońca“ kończą pod strażą kozaków składanie gazety.

Gwałty żołdactwa na ulicach Warszawy.

(Do illustracyi tytułowej.)

Hulało żołdactwo moskiewskie po Warszawie i w rozpasaniu dopuszczało się istnych orgij na mieszkańcach dawnej naszej stolicy.

Nikt nie był pewnym życia pokazawszy się na ulicy, bo rozjuszeni żołdacy rzucali się na każdego przechodnia. „Naczalstwo“ patrzało na te mordy z rozkoszą, a nierzadko się zdarzało, że oficerowie szli na wyścigi z prostymi żołnierzami w napadaniu na przechodniów, łupieniu i ograbianiu mieszkańców.

Żołnierze stali pijani. Strzelali bez żadnych powodów — ot tak sobie dla zabawki.

Zdarzały się wypadki, że żołnierz pchnął bagnetem usuwającego się mu z drogi przechodnia. Oficerowie nietylko nie miarkowali żołnierzy, ale w szale bojowym śmiało pędzili za uciekającymi i nawet zapędzali się na dziedzińce domów i na schody, prowadzące do prywatnych mieszkań! — Oto są słowa naocznych świadków tych gwałtów żołdactwa.

O brutalności żołdaków świadczy wymownie następujący fakt, który podają dzienniki: Profesor politechniki, Rosyanin, został na rogu ulicy Marszałkowskiej i Koszykowej zelżony przez żołnierzy. Gdy zwrócił się do oficera ze skargą, otrzymał odpowiedź: „Dziękuj Bogu, że ci żołnierze mordy nie rozbili!“

Najwięcej dokazywali, jak zawsze, kozacy. W dzikości, niekrępującej się niczem, atakowali wszystkich, bijąc, raniąc i strzelając na vet do okien kamienic, gdy brakło im ludzi na ulicach. Na spółkę z policyą i nożownikami rzucali się na sklepy i kradli, co się dało. Osoba wiarygodna, która przyjechała do Krakowa z Warszawy, widziała, jak oficer kozacki plądrował sklepy i kradł wraz z policyantami i złodziejami.

Gdy zbierał się większy tłum, kozacy atakowali zgromadzonych, nacierając na nich w galopie i bijąc i rozpędzając na wszystkie strony.

Rycina nasza przedstawia atak kozaków na tłum, gdzie kozacy pijani i wściekli, rzucają się na tłum by upić się krwią ludzką do syta.

Barbarzyńska ta scena przypomina żywo sceny z r. 1861, z czasów walk ulicznych powstańców, z rozpasanem żołdactwem.

Kozacy w drukarni gazety.

Po wybuchu generalnego strejku robotniczego w Warszawie — przyłączyli się do ogólnego bezrobocia i zecerzy. W krótkim czasie zawieszono pracę we wszystkich drukarniach, a w nieodzownem następstwie zostało miasto w pewnym dniu pozbawiono kompletnie dzienników. Partye robotników, którzy zainicyowali i pierwsi przystąpili do strejku — obchodziły kolejno wszystkie drukarnie skłaniając namową, a gdy to nie pomogło — siłą do solidarności z bastującymi towarzyszami. Bez oporu zamknęły ruch drukarnie Słowa, Dziennika dla wszystkich i Kuryera polskiego, Gazeta handlowa i inne.

Do jakiego stopnia była Warszawa w krytycznych tych dniach spragnioną jakiejkolwiek wiadomości, świadczy już jeden fakt. Ostatnie numery „Kuryera warszawskiego“ były w drodze kolportażu (który jest w Warszawie dozwolony), w przeciągu kilku minut rozchwytane. Za pojedynczy numer „Kuryera“, płacono do 50 kopiejek, podczas gdy normalna cena egzemplarza wynosi 3 kop. Inna jest kwestya, że publiczność, ani z „Kuryera“ ani z innych gazet, gdyby były wyszły — nicby się nie dowiedziała. Cenzura bowiem zabroniła pismom podawania wiadomości o strejku i rewolucyi i nawet rosyjskie urzędowe organy — pomijały z jej nakazu opis strasznych, krwawych epizodów rozgrywających się na ulicach Warszawy, Petersburga i w ogóle w całem imperium rosyjskiem.

Ze wszystkich gazet w jednym tylko „Gońcu porannym i wieczornym“ pracowano jeszcze, chociaż i tu w personalu robotniczym dawało się spostrzedz podniecenie umysłów i jawna tendencya bezrobocia.

Uprzedzając wybuch strejku i skutki jego — pojawili się w hali maszyn i zecerni kozacy i żandarmi. Obsadzili natychmiast wejścia i z bronią w jednej, a nahajką w drugiej ręce, pilnowali, by praca w „Gońcu“ nie ustawała. Zecerzy i maszyniści byli więc siłą przyniewoleni do pozostania przez jakiś czas na swych posterunkach pracy. Nie trwało to jednak długo. Na ulicy przed lokalem redakcyi zebrały się tłumy świętujących robotników i młodzieży, którzy gwałtowną demonstracyą i pogróżkami doprowadzili do tego, że pracę w drukarni wstrzymano i zecerom wyjść pozwolono. Nie obyło się przytem bez wytłuczenia szyb w lokalu i uszkodzenia maszyn.

Rycina nasza przedstawia scenę, skreśloną przez naszego rysownika podług szkicu przesłanego nam z Warszawy. Rysunek uprzytomnia chwilę, gdy kozacy pilnują w zbrojnem pogotowiu w zecerni składania „Gońca“.

J. E. Dr. Aleksander Tchórznicki.

Mało jest ludzi w służbie rządowej będących, a tak dla kraju i społeczeństwa zasłużonych — jak J. E. Dr. Aleksander Tchórznicki, który obchodził obecnie jubileusz 10-letniego sprawowania godności prezydenta Najwyższego Sądu w kraju.

Dr. Aleksander Mniszek Tchórznicki, urodził się w r. 1851 w Cucułowcach we wschodniej Galicyi. W r. 1872 ukończył studya prawnicze ze stopniem doktora i następnie wstąpił w charakterze praktykanta sądowego do służby państwowej we Lwowie. Dzięki wybitnej swej zdolności, niepospolitej pracowitości i sprężystości, przebiegł szybko wszystkie stopnie urzędniczej chierarchii. Był w ministerstwie sprawiedliwości, a w r. 1888 zamianowany został prezydentem sądu obwodowego w Kołomyi. W dniu 28 stycznia 1895 zasiadł na fotelu prezydenta najwyższego sądu w kraju.

Na zaszczytnem tem stanowisku czekała jubilata wielka i uciążliwa praca, z której wywiązał się ku największemu pożytkowi społeczeństwa i chwale swego nazwiska. Właśnie w tym czasie zaprowadzoną została nowa procedura sądowa, a jemu zawdzięczać należy, że nowe ustawy procesowe wprowadzone u nas zostały ze zdumiewającą sprężystością i skutecznością.

Prezydent Tchórznicki pomnożył personal urzędniczy, co znakomicie wpłynęło na szybki, tani, a dobry wymiar sprawiedliwości. Zarówno w Galicyi jak Bukowinie pobudował wspaniałe i hygienicznie urządzone budynki na pomieszczenie sądów. Nie mniejszą jego zasługą jest troskliwość o prawidłowy tok akcyi sądowej i pieczołowitość o rozwój instytucyi kas sierocych. Od szeregu lat przewodniczy Towarzystwu prawniczemu we Lwowie.

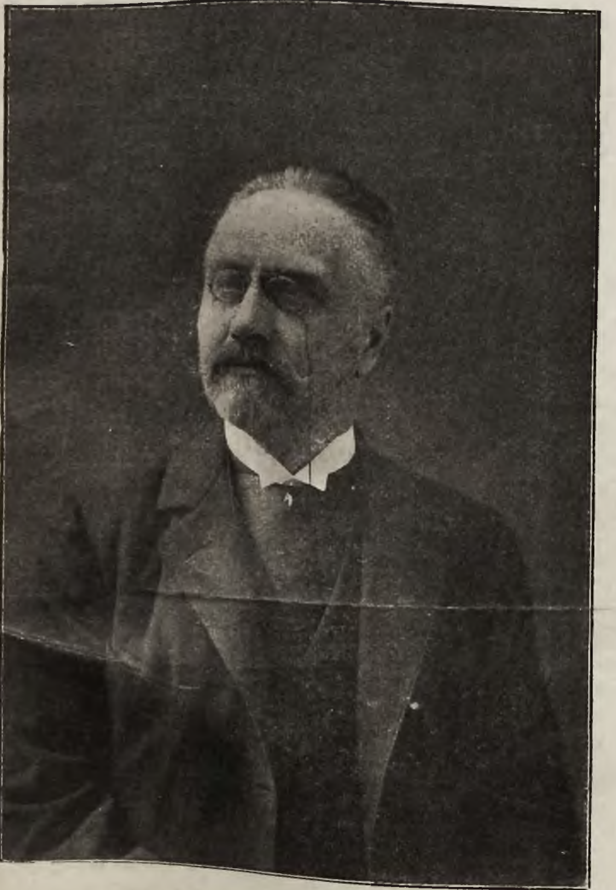
Nazwisko jego zapisało się chlubnie na kartach historyi w słynnym procesie między Węgrami, a Galicyą o Morskie Oko. Wiadomo, że wiekopomny ten proces zakończył się zwycięstwem Polaków na całej linii. Arbitrem w tej sprawie był właśnie Eks. Tchórznicki.

Dzisiaj osiwiały weteran — prawnik — cieszy się jeszcze całym zasobem sił umysłowych i fizycznych i prawdopodobnie długo jeszcze będzie dla dobra i chluby kraju naszego pracował.

W niniejszym numerze podajemy portret zasłużonego jubilata.



Wygląd miast rosyjskich w czasie rewolucyi: Secina kozaków przeciągająca przez ulice Petersburga.



J. E. dr. Aleksander Tchórznicki, prezydent sądu wyższego we Lwowie.

Najstarsza polska szkoła szermierki.

Ze wszystkich gałęzi sportu, którym się młodzież oddaje, bezwarunkowo szermierka jest najzdrowszą i najbardziej dąży do tego ogólnego celu, jaki sport prócz zabawy wytyka, to jest do fizycznego wykształcenia.

W szermierce bowiem nie trzeba widzieć ćwiczeń, jedynie dla ewentualnych wypadków przy załatwianiu tak zwanych spraw honorowych, ale zabawę zdrową i pożyteczną. Szermierka ćwiczy bowiem wszyskie organa zarówno: ćwiczy muskulaturę rąk i nóg, wyrabia giętkość ciała, nadaje mu gibkość, budzi energię życiową, wzmacnia bystrość wzroku, rozwija dar oryentowania się w nagłych wypadkach i odwagę.

Szermierka w Polsce z dawnych lat posiadała licznych zwolenników.

Rzec można śmiało, że w dawnej Polsce nie było człowieka, któryby nie posiadał gruntownej znajomości szermierki. Młodzi chłopcy wcześniej, niż książkę — brali do ręki szablę i z rówieśnikami swojemi uczyli się praktycznie szermierki.

W szkołach bijano się na palcaty, a gdy wąs zaczął się zasiewać pod nosem, brano szarpentynę do ręki i znaczono sobie wzajemnie twarze.

Szermierka ówczesna była nie tylko ćwiczeniem gimnastycznem, jak to dziś przeważnie jest traktowaną, ale ponadto była nieodzownym warunkiem samoobrony, a nawet w sztuce wojennej miała wysokie znaczenie i zastosowanie. Taktyka wojenna średnich wieków polegała bowiem nie tyle na masowych ruchach armii, ile na osobistej odwadze i sprawności walczących osobników.

Dziś mniej już młodzieży poświęca się szermierce, ale i tak większa część młodych ludzi, bodaj czas jakiś oddaje się jej z zapałem.

Jedną z najstarszych szkół fechtunku w Polsce jest lwowska szkoła Marcina Mariego, zwanego polskim Bergerac'iem a założona w roku 1798. Marcin Marie jeden z najlepszych polskich fechmistrzów, który zrazu uczył szermierki u książąt Czartoryskich w Puławach, a następnie na uniwersytecie lwowskim, założywszy swą szkołę, sławą jaka otaczała jego imię, skupił koło siebie znaczną liczbę uczniów, którymi niebawem mógł się poszczycić.

Po jego śmierci szkołę objął jego syn Achilles, także znakomity szermierz, który umierając, powierzył ją w ręce bratanka Artura. Sto siedem lat szkoła ta była w ręku Mariów i do tej pory pozostaje jeszcze. Nie mało dobrych i sławnych szermierzy ona wydała, a obecnie może pochlubić się dwoma wychowankami Aleksandrem Grzywakiem i Adamem Stoegbauerem, którzy w turniejach krajowych zdobyli już szereg złotych medali.

W niniejszym numerze podajemy salę fechtunkową szkoły Mariów wraz z dwoma najlepszymi jej uczniami pp. Grzywakiem i Stoegbauerem, podczas assaut. W tyle na drugim planie stoi obecny kierownik szkoły Artur Marie.



Fot. E. Brodkowski. Lwów.

Najstarsza polska szkoła szermierki: Sala fechtunkowa w szkole Mariów; na pierwszym planie pp. Grzywak i Stoegbauer podczas fechtunku, w tyle kierownik szkoły p. Artur Marie.

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

19 (Ciąg dalszy).

— Kiełbiczkę, czy szczenię?

— Śliczną dziewczynkę, za którą już przepadam.

Kwiat-Nędzy myślał: „Ślepa... i dziewczynka. O, to nie moi. Moich było troje, a tych dwoje tylko!“

— Może w czas nadarzyłaś się Ciupago, bo jak mi oczyszczona miła, chciałem już uczyć bandę moich leżuchów, jak mają juchcić bułki u piekarza, mięso u rizuła i kiełbaski u kiełbaśnika z przeciwka... ale ten twój interes trzeba będzie ogadać galanto i z penetracyą... do czego nie jestem dziś usposobiony... Przyjdę w tych dniach sam do ciebie i ułożymy się. Czekaj na mnie!

— Czy tylko pewno?

— Pewno... pewno!

To mówiąc Czupiradło wziął kobietę za rękę i ścisnął ją znacząco.

Ciupaga pożegnała się z wszystkiemi i wyszła, pozostawiając w izbie Złotą-Rączkę z mężem i dziećmi.

Po odejściu kabalarki, Czupiradło zdjął zielony, papierowy daszek, osadzony na drutach nad lampą naftową, żeby widzieć lepiej Graziellę, Pietrusia, i Kwiat-Nędzy, zbitych w zwartą gromadkę w jednym z najciemniejszych kątów brudnego pokoju. Chociaż pijany, czuł jednak, że to, co ma powiedzieć, mówić musi oględnie i roztropnie. Zwrócił się więc naprzód do Pietrka, zwanego Marco-Spadą:

— Pójdź sam tu bliżej.

— Czy Czupiradło ma mi co powiedzieć?

— Dlaczego nie nazywasz mnie tatusiem, albo ojcem?

— Albo ja wiem dla czego!... Nie wiem.

— O! znam ja ciebie!... Miłością do nas obojga się nie udławisz, chociaż obchodzimy się z tobą, jak z paniątkiem... a Złota-Rączka nawet cię psuje. Robisz w domu, co ci się tylko żywnie spodoba. Narzuciłeś nam tego pomiotka – wskazał na Janka. Wzięliśmy go, żeby dogodzić twojej fantazyi, chociaż to trzecia gęba do żywienia.

Głośne łkanie wstrząsnęło piersią biednego chłopca. Zerwał się na równe nogi i chciał uciekać, lecz Graziella przytrzymała go znowu i nachyliwszy mu się do ucha, szepnęła:

— Kocham cię bardzo! Jeśli odejdziesz, dniem i nocą płakać będę. Pomyśl tylko... co ja tu sama pocznę, bo jak ty dom opuścisz i Piotruś drapnie także.

Janek nic nie odpowiedział. Usiadł na krzesełku milczący, bo oddawna wola Rózi stała się jego wolą.

Pietrek tymczasem stał nieruchomy przed ojcem, spoglądając na niego hardo.

— Słyszałeś naszą rozmowę z Ciupagą – mówił dalej Czupiradło prawie słodkim głosem. — Wiesz, żeśmy popadli w ciężką bryndzę, więc matka twoja i ja postanowiliśmy radzić złemu i bądź co bądź wyleźć z szkaradnej biedy.

Piotruś przymknął oczy i słuchał.

— Tak, tak, mój chłopie! Wiadomo całemu światu, żeś sprytny, a nie jesteś już mały, więc musisz mnie rozumieć. Są rzeczy na świecie, które wydawać się mogą marne i zwyczajne, a przecież oburzają człowieka do głębi. Jedni mają wszystko, czego zapragną; drudzy nic... nic zgoła! I to się nazywa równość wobec prawa. My biedni zjadamy zaledwie okruchy, spadające ze stołów możnych bogaczy. Chociaż mróz przenika do kości, nie mamy czem napalić w piecu. Musimy boso, albo w podartych kamaszkach chodzić po błocie i śniegu, gdy oni noszą zbytkowne obówie i rozbijają się sankami, albo powozami po ulicach. Spojrzyj tylko na siebie: nie masz butów tylko dziurawe pantofle; nie masz całej, ciepłej odzieży, któraby cię chroniła od wściekłego, tegorocznego zimna... Ale ty się nad tem nie zastanawiasz. Śpisz i żresz, nie myśląc o jutrze... nie myśląc, co się z nami wszystkimi stanie, gdy już ani my, ani wy nic nie zarobicie... a przecie wiesz, że teraz nic prawie nie zarabiacie...

— Och wiem – odparł Pietrek — że nie zaliczamy się do szczęśliwych. Nie urodziliśmy się w jedwabiach, jeno łachmanach... na błocie. Nie codziennie głód zaspokoić możemy, a sypiamy na brudnych barłogach, razem z robactwem wszelakiem. Wiem to wszystko i nie od dzisiaj cierpię nad tem, żeśmy pogrążeni w tak okropnej, ohydnej nędzy...

— Ba, ba, ba! jak ty to fino gadasz, mój chłopaku, aż serce rośnie, słuchając twojej mowy...

— Bo, proszę tatusia, doświadczenie, a także to wszystko, na co patrzę i czego się nasłucham w świecie, chodząc między ludźmi, rozjaśniło potroszę ciemności, zalegające dotąd w mojej nieuczonej głowie.

— Ślicznie! ślicznie! Więc zgadzasz się na wszystko, co powiedziałem? Jak ja buntujesz się przeciw niesprawiedliwościom tego podłego świata, które jednym wychodzą na zdrowie, a drugich zabijają. Chcesz walczyć z wyzyskiem?

— To zależy, co nazywacie wyzyskiem i o co walczyć mamy — przerwał Piotruś. — to zależy także, czego od nas wszystkich żądać będziecie. Mówię „wszystkich“, bo naszej małej gromadki nigdy w sercu mojem nie rozdzielam; więc myślę o Rózi, która więdnie w tej norze, i o Janku, którego wraz z siostrą moją kochamy oboje jak rodzonego brata. Jeśli dla wspólnego ratunku mamy coś robić, według waszego życzenia, to musim całą kupą wiedzieć czego od nas żądasz.

Chłopak mówił tym razem istotnie, jak człowiek dojrzały, a ostatnie jego słowa zbiły Czupiradłę z tropu. Wzrok malca ostro zwrócony na pijaka, wzrok, w którym jaśniała pogoda uczciwego serca, zmieszał go niemało, pochylił więc głowę i czas jakiś się namyślał. Rzekł nareszcie:

— Zanim ci odpowiem, co z matką twoją uczynić chcemy dla wspólnego dobra, trzeba, żebyś zrozumiał, co nas skłania do buntu, nietylko przeciw ludziom, którzy nas prześladują i żyć spokojnie nie dają, lecz także przeciw Opatrzności, w którą, jak mi się widzi, wierzysz, czy też wierzyć pragniesz, bo od czasu, jak ten płód poroniony, ukochany przez ciebie Kwiat-Nędzy, wlazł między nas czworo, spostrzegam i słyszę nieraz, jak modlicie się we troje razem. Otóż, spytaj twojej matki, uczeńszej odemnie... chociaż i ja mam, nie przymierzając, rozum jaki taki... co to jest Opatrzność? Furda! blaga! obełganie! nic więcej... Człowiek rodzi się, gdzie może i zdycha, gdzie może, a po śmierci nic z niego nie pozostaje, chyba garstka zgnilizny. Takich, jak my, rzucają do powszechnego dołu... i adju Fruziu!... nie wiadomo gdzie się człowiek podział. Zdechł pies, niema psa! Bogaczom zaś, nawet gdy kopyta wyciągną, stawiają na grobach krzyże pomniki i kapliczki, a w Zaduszki palą na ich cześć lampki i świece... Tak, tak! nawet śmierć nam równości z nimi nie daje... i dla tego ich nienawidzę i nimi pogardzam.

Nastało dość długie milczenie.

Piotruś drżąc całem ciałem, zastanawiał się nad słowami ojca, w których zdawało mu się, że mieści się bądź co bądź wiele prawdy. Nieraz serce jego napełniało się goryczą, gdy patrzał na nędzny kondukt żałobny, odprowadzający zwłoki ubogiego na cmentarz... tymczasem zaś zmarłego bogacza wiozły poczwórne cugi, a karawan, otoczony pochodniami, na którym spoczywała trumna kirem i wieńcami pokryta, lśnił od złota, lub srebra. Lecz przypominając to sobie, pomyślał równocześnie, że bogacz, który tyle szczęścia pozostawia na ziemi, musi go żałować i rozstawać się z niem w rozpaczy, gdy biedny oczekuje na zgon z utęsknieniem, witając ją radośnie, bo mu ona przynosi – wyzwolenie.

— Niechże tatuś nam powie dokąd, tem, co mówił, zmierzał i czego od nas wymaga? — rzekł Pietrek po chwili.

Czupiradło wyciągnął z zanadrza flaszkę „Monopolowej“, a wydłubawszy z niej nożykiem korek, łyknął wódki raz i drugi. Poczem odparł:

— Życie, to także szkaradna i głupia blaga!... Żeby zapomnieć o nędzy, pić trzeba, bo po napiciu się, człowiek łudzi się, że jest szczęśliwy. To też dla zalania gryzącego nas robaka pijemy z Złotą-Rączką, ile razy tylko mamy hopy w dolinie. Lecz, żeby zarobić parę miedziaków, musimy dobrze się nalatać pieszo z kąta w kąt po mieście, patrząc jak pasibrzuchy mijają nas w koczach i karetach, bujając się na resorach, wyciągnięci wygodnie na miękkich poduszkach. My nawet na tramwaj pozwolić sobie nie możemy! A żarcie? Dla nas przysmakiem kawał suchej kiełbasy, obrzynki od kości przy szynce, albo kawał zdechłej krowy, uwarzonej bez omasty, gdy oni zajadają drób i zwierzynę i zamorskie frykasy, obsługiwani przez sytych fagasów, uśmiechających się i kłaniających im pokornie. Ileż to razy sam zapach potraw, pitraszonych dla nich w suterynach, zatrzymywał nas na ulicy i odurzał dolatującą do nosa wonią. Wtedy taka wściekłość mnie ogarniała, że chętnie podpaliłbym wspaniałe kamienice, w których mieszkają, albo wepchnął majchra w serce każdego z nich, gdyby mi się który pod rękę nawinął.

— Och, nie mówcie tego, na miłość boską! — zawołał Piotruś przerażony.

— Głód wypędza wilki z lasu i gna do owczarni lub obory. Nie znam innego prawa, prócz prawa głodu.

— Ależ trzeba pracować, nauczyć się jakiegoś rzemiosła i zarabiać na kawałek chleba, żyjąc jak wszyscy uczciwi ludzie!

— Dlaczego ja właśnie miałbym pracować, gdy inni próżnują? Dlaczego nie miałbym zabrać bogatemu tego, czego dać się wzbrania? Ziemia i wszystkie jej bogactwa należą do wszystkich, którzy na niej żyją. Dlaczego więc nierówny podział? Dla jednych wszystko, nic dla drugich. Każdy, powiadam ci, ma prawo zabrać... wydrzeć nawet gwałtem... dział sobie należny!

— Ależ to kradzież! ohydna kradzież! albo rozbój – krzyknął Pietrek, unosząc się gniewem i oburzeniem.

— Mało mnie obchodzi, jak kto nazwie czyn, który mi się wydaje sprawiedliwym odbiorem części wspólnego dobra, a którą to część uważam za swoją!

— Ja kraść nie będę!... ani ja, ani Graziella, ani Kwiat-Nędzy.

— Oho, zobaczymy!... Zrobisz, co rozkażę.

— Nigdy!

— Jutro zabierzemy się do juchtu. Graziella i Kwiat-Nędzy, jako młodsi, stać będą na straży, a ty pod moją komendą, juchcić będziesz to, co ci wskażę.

— Nigdy!.,. Nie liczcie na mnie, bo was zawód spotka.

Czupiradło zerwał się z siedzenia i wzniósł zaciśniętą pięść nad głową Piotrusia, który cofnął się o kroków parę i rzekł stanowczym głosem:

— Możecie mnie zabić... ale ja kraść nie będę!

— Pozostawiam ci całą noc dzisiejszą do namysłu... a teraz, pójdź precz!

— Już się namyśliłem... do kradzieży nikt mnie nie przymusi.

— Słuchajno mikrusie! – rzekł Czupiradło łagodniejszym tonem – pomyśl tylko sobie, że nikomu obcemu zwierzyć się nie mogę i nikogo ob-

cego wezwać do pomocy, chociaż interes jest całkiem bezpieczny. Zapoznałem się z nim i przygowywałem się do niego od dawna. Zakradłem się cichaczem, niespostrzeżony, do niezamieszkanego pałacu, przepełnionego wszelakiemi bogactwami, które przywłaszczyć sobie łatwo, bo ich nikt nie strzeże. Sposobność podobna nie przytrafi się nam już nigdy w życiu. Pogłaskał chłopca po twarzy. Już ja wiem, że mi dopomożesz. Nie chcesz się dziś zgodzić, lecz przez noc zmienisz przekonanie. Jestem tego pewny. Gratka, jakich mało... postawi nas na nogi. Idź teraz spać... ale zanim zaśniesz, zastanów się dobrze. Ręczę, że mnie usłuchasz...

Piotruś nic nie odpowiedział, tylko odwróciwszy się od ojca nagle, wbiegł na schodki, wiodące do izdebki na facyatce. Za nim podążyli Rózia i Janek.

— Jutro.. już mnie tu nie będzie — powiedział chłopiec, zamykajac za siostrą i przyjacielem drzwi na strychu. Jutro opuszczę was na zawsze. Wkrótce rozpocznę piętnasty rok życia, wstyd byłoby doprawdy, gdybym nie dał sobie rady. Powinienem pracować i stać się uczciwym człowiekiem, aby w danym razie być wam pomocnym.

— Porzucasz nas? — rzekła Graziella zmienionym głosem. — Pozostawiasz samych na łaskę i niełaskę Złotej-Rączki i Czupiradła... Och, jakiś ty niedobry!

— Muszę odejść, Nie mam ani grosza... ale mniejsza o to! Zarobię na życie... Mam siły potemu. Uciekać stąd trzeba, siostrzyczko droga, bo i ty chyba nie chcesz, żeby twój brat został złodziejem, a gdybym tu pozostał, musiałbym, co najmniej, wyjść na doliniarza. Ojciec o niczem innem nie myśli, jak o kradzieży, a matka, zamiast go powstrzymywać, popycha i namawia raczej do występku...

— Ja także stąd się wyniosę — rówił Kwiat-Nędzy — nie chcę patrzeć na zbrodnie, jakie tu dziać się będą. Jestem wątły i słabowity, lecz posiadam dość odwagi do walczenia z losem. Jutro śmiało i bez ogródek, powiem w oczy Złotej-Rączce i jej mężowi czem oni zostać pragną, a jeśli się nie wyrzekną zamiaru, z którym dziś wieczór zdradził się przed nami Czupiradło, pójdę ich zadenuncyować na policyę, bo nie mogę pozwolić na to, by Graziella przez nich cierpieć miała. Chciej wierzyć drogi Pietruniu, że gdyby nie wy dwoje... Rózia i ty, dawno umknąłbym już z budy. Gdziebym poszedł?... Nie wiem, lecz czuję, że Bóg ulitowałby się nademną i nie dałby mi zginąć marnie. Siostra twoja, którą wiesz jak kocham bardzo, zatrzymywała mnie ciągle. Jej łzy i prośby osłabiły we mnie wolę, dla tego siedziałem razem z wami, chociaż Czupiradło i Złota-Rączka znęcali się nademną... wymyślali mi, bili, poniewierali... za co też w głębi serca nienawidziłem ich okropnie.

— Och, pamiętaj — rzekła Rózia, przesuwając drżącą rączką po bladem czole — że to moi rodzice... potępiać ich nie mam prawa. Mój Janku! mój Janeczku! miej nad nimi choć ociupinę litości... I nad złymi Bóg litować się kazał, sam to mówiłeś nam nieraz...

— Nienawidzę ich... mimowoli nienawidzę — powtarzał chłopiec, zaciskając zęby.

Wtedy ona, objęła go ramieniem za szyję, przycisnęła do siebie i szepnęła mu do ucha:

— Kocham cię!... Kocham cię tak, jak Piotrusia... Was obu tylko kocham, nikogo więcej, a ty chcesz także mnie porzucić i lecieć gdzieś daleko... daleko... w świat daleki, w świat szeroki, pozostawiając samą w tej ohydnej budzie, w której co wieczór umieram ze strachu.

I to mówiąc, dziewczynka do głębi wzruszona, rozpłakała się rzewnie.

Piotruś, dziwnie dziś poważny, z pozorną obojętnością patrzał na siostrę i przyjaciela, chociaż i jemu serce ściskało się od ciężkiego smutku.

Graziella znała niezłomny upór brata, nie starała się więc wpływać na zmianę jego postanowienia. Otarła łzy, powstała z miejsca i zbliżywszy się do Pietrka pytała:

— Co uczynisz?... kędy pójdziesz?... kiedy ujrzymy cię z powrotem?

Chłopak milczał.

— Nie odpowiadasz?... Czyżbyś się żegnał na wieki? Czy już nawet kiedy niekiedy nie zechcesz widywać się z nami?

— O!... Nie zapomnę ja o was! W sercu nosić będę wspomnienie o tobie siostrzyczko... i o tobie Janku... aż do dnia, w którym połączymy się z sobą znowu, na zawsze!

Po tych wyrazach długotrwała cisza zaległa w izdebce.

Pietrek niespokojny i roztargniony, zbliżył się do okienka, patrząc przez nie bezmyślnie na ulicę.

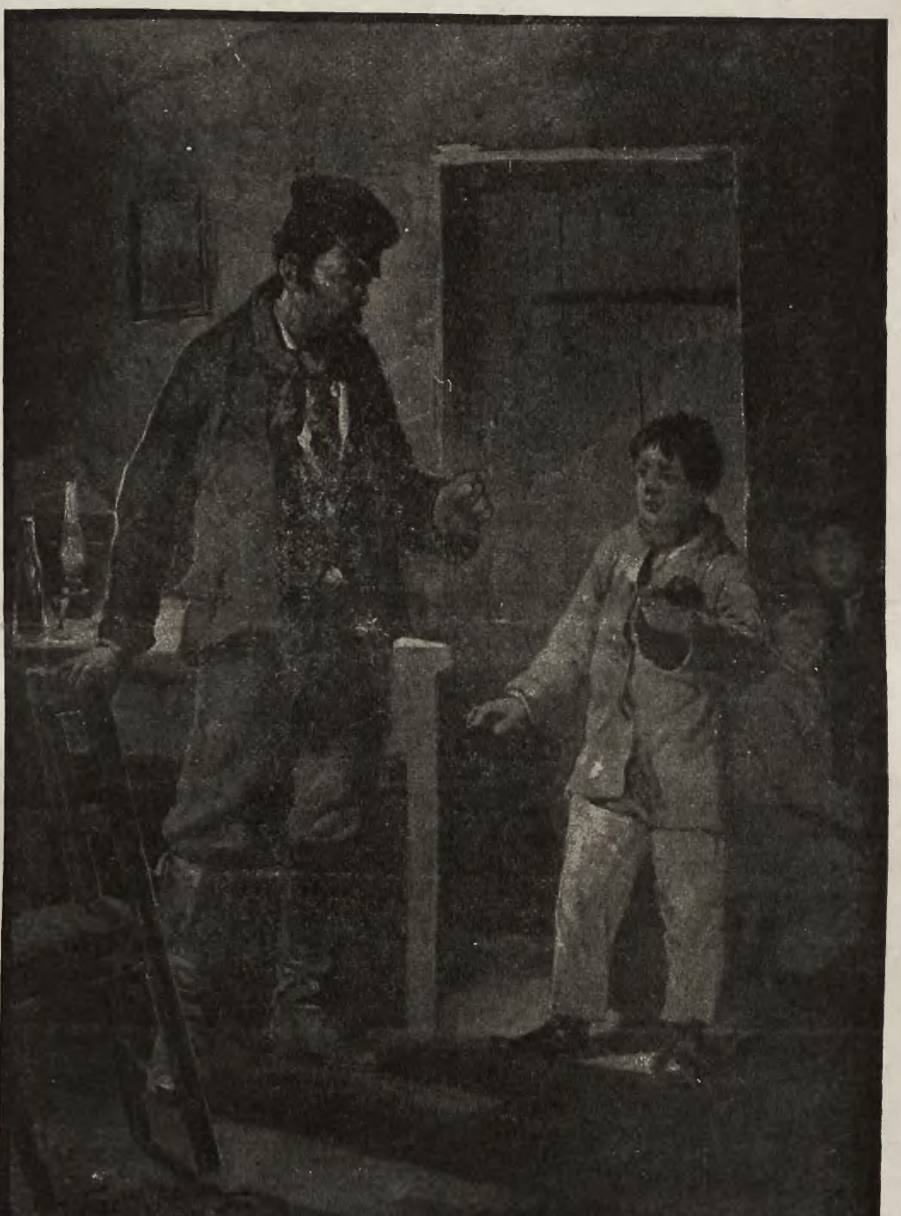
Niebo iskrzyło się milionami gwiazd, w pośród których jasny księżyc przesuwał się powoli. Od czasu do czasu zmarznięty śnieg zaskrzypiał pod nogami jakiegoś spóźnionego pijaka, powracającego do domu po nocnej hulance. Z dolnej, parterowej izby, do uszu płaczącej Graziellli i chłopców, pogrążonych w dumaniach, dolatywał gromki odgłos chrapania Czupiradła i Złotej-Rączki.

Piotruś postanowił wyjść z budy o wschodzie słońca, przed zbudzeniem się rodziców.

Smutne godziny oczekiwania upływały powoli. Myśl o rozstaniu się, napełniała serca trojga dzieci wielkiem zmartwieniem.

— Nareszcie — w dali — nad niskimi, pochylonymi dworkami i chatami, blado-purpurowy blask rozdarł ciemności. Z blasku tego zaczęła się zwolna wynurzać kula słoneczna, rzucająca ukośnie po uśnieżonych dachach, różowe, migotliwe promienie. Chłopak odsunął się od okienka i pochyliwszy się nad skulonymi w kącie Graziellą i Kwiatem-Nędzy, szepnął cichutko:

— Już dzień!... Odchodzę... Bądźcie zdrowi. Pamiętajcie o mnie! Przyjdzie czas, w którym Bóg łaskaw znowu nas połączy... Jestem tego pewny!



— Możecie mnie zabić... ale ja kraść nie będę!

— Nie chcę, żebyś odchodził! — zawołała Rózia, wieszając mu się na szyi. Nie chcę, żebyś nas porzucał!

— Pozwól mu odejść — rzekł Kwiat-Nędzy. Jeśli dziś stąd nie ucieknie, zostanie złodziejem. Masz mnie przy sobie, ja tobą opiekować się będę. I dla mnie wiek męski już nie daleki... Bronić cię potrafię!

Piotruś zeszedł ostrożnie po skrzypiących schodkach, przesunął się jak cień na palcach przez izbę, w której matka i ojciec spali, jak zabici... Poczem wybiegł na ulicę.

Raźno puścił się w drogę przed siebie.

Dokąd? — Sam nie wiedział. Szedł, gdzie go oczy poniosą... ku nieznanej przyszłości.

O ósmej rano Czupiradło się przebudził, przetarł oczy, ziewnął raz i drugi donośnie, a potem zawołał:

— Pietrek! Marko-Spada!... Pójdź sam tutaj, synku!

Nikt nie odpowiedział.

Zwykle, o tej porze, Piotruś był obowiązany napalić w piecu, a gdy były pieniądze, pójść po mleko.

Złota-Rączka nie słysząc żadnej na wołanie odpowiedzi, zerwała się żwawo z posłania, wciągnęła spódnicę, narzuciła na plecy chustkę i wbiegła po schodkach na strych. Nie spostrzegłszy syna w izdebce, zmarszczyła świecące brwi gęste.

— Gdzie twój brat? — spytała Rózi groźnym tonem.

— Piotruś poszedł... — odparł Kwiat-Nędzy, wzbudzając w sobie siłą woli odwagę.

— Gdzie poszedł?... Ty brudny podrzutku musisz wiedzieć gdzie poszedł?... Ręczę, że jesteś z nim w zmowie. Od czasu, jak jakieś nieszczęście, czy dyabeł, przyniosły cię do nas, Pietrek stał się całkiem innym chłopcem, niż był dawniej. Buntuje się nieustannie, hardo się stawia, nie chce ojca słuchać... Jestem pewną, że to ty pokrako podburzasz go i psujesz!

— Matko — rzekła Graziella — Pietrek odszedł na zawsze... już nigdy nie wróci...

— A to z jakiej przyczyny?

— Nie wiem.

— Gadaj mi zaraz! — krzyknęła Złota-Rączka, podnosząc pięść w górę. Ja wam pokażę, co znaczy milczeć, gdy ja pytam o co. Zawołam Czupiradła, on wam języki rozwiąże... Pietrek odszedł, powiadacie... i ma nie wrócić więcej! W teatrze coś podobnego czasem się zdarzało, ale tak być nie może w kochającej się rodzinie!... Czy podobna, aby zbiegł nie pożegnawszy się z nami, nie ucałowawszy mnie wprzódy... mnie, która go nigdy nie skrzywdziłam... która go tak mocno kochałam!

Oczy baby napełniły się łzami, spływającemi rzęsiście po jej zwiędłej, czerwonej, głębokiemi bruzdami pooranej twarzy.

— Gdyby się stąd nie wyniósł, musiałby zostać złodziejem — rzekł Janek po chwili — a on złodziejem być nie chce, przeciwnie pragnie zostać porządnym robotnikiem...

— Co gdaczesz ohydny pomiotku?

— Tak, tak... Piotruś chce być uczciwym człowiekiem, a ponieważ Czupiradło zapowiedział mu wczoraj, że mają razem dziś rabować jakiś opustoszały pałac, więc drapnął z budy. Przecież Czupiradło mówił wszystko przy mnie głośno i bezwstydnie... Dobrze słyszałem! To też i ja buntuję się również... i powiadam, jeśli wasz mąż nie zrzecze się swojego zamiaru, pójdę was zadenuncyować.

— Ach ty kanalio!

— Tak... pójdę wszystko wyśpiewać w policyi, prawił dalej chłopak drżącym głosem. Chociaż grożę, to nie przez złość, jeno z dobrego serca, żeby was pomimo waszej woli ocalić. Nie chcę, żebyście byli złodziejami, bo mi chodzi o Graziellę... nie chcę, żeby musiała rumienić się za was!

— Zaśniad! psia-krew! podłe szczenię! — wrzasnęła rozzłoszczona Złota-Rączka, uderzając z całej siły Janka w głowę. Masz! Zanieś to komisarzowi policyi i powiedz mu odemnie, że nietylko go się nie boimy, ale drwimy sobie z niego i z ciebie paskudny potworze!

Chłopiec, chociaż trząsł się jak w febrze, stanął przed Graziellą, jakby ją chciał zasłonić od razów.

XIX.

Dwa dni upłynęło od wypadków, opowiedzianych wyżej.

W jednym z brudnych szyneczków na Czystem siedzą przy stole Czupiradło i Złota-Rączka. Tylko co zjedli po sporym kawałku salcesona z chlebem, a teraz popijają pożywienie piwem.

Dwa dni szukali na próżno Piotrusia po wszystkich zaułkach Warszawy i nigdzie go nie znaleźli

C. d. n.



Napad kozaków na konsula angielskiego w Warszawie: Kozacy najeżdżają i ranią w głowę szablą wicekonsula angielskiego M. Saint-Clair'a.

Napad kozaków na konsula angielskiego.
w Warszawie.

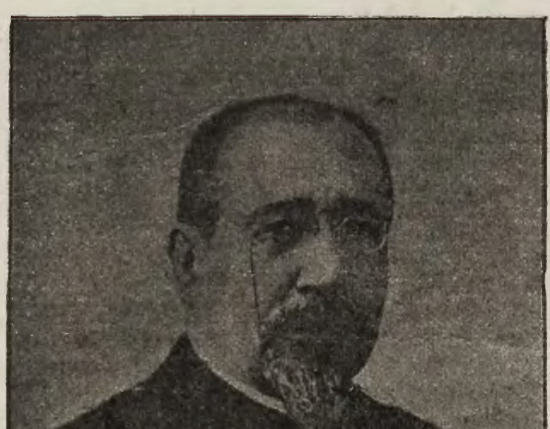
Rewolucya robotnicza w Warszawie dała sposobność wojsku i policyi rosyjskiej do popisania się nowym szeregiem gwałtów, jakich dopuszczano się nietylko na buntujących się Polakach, ale i na najspokojniejszych mieszkańcach Warszawy. Wiadomą jest rzeczą, że nie tylko życie ludzkie jest w takich warunkach narażone ale i mienie. Nie tylko na ulicach nie można się pokazać, ale i w swym własnym mieszkaniu pozostając, można zostać obrabowanym ze wszystkiego. Dzienniki donoszą, że policya i żołdactwo warszawskie organizują bandy opryszków, którym pozwalają rabować i kraść bezkarnie, a nikt w dzisiejszych czasach nie może rozciągnąć nad nimi kontroli, gdyż z wyjątkiem buntujących się robotników, nikt nie odważa się opuszczać swego mieszkania i wychodzić na ulicę.

Żołdactwo nie szanuje nawet przedstawicieli obcych państw i rozjuszone w swej dzikości, morduje i strzela do każdego przechodnia.

Najlepszym dowodem tego, jest napad na konsula i wicekonsula angielskiego w Warszawie, który miał miejsce w niedzielę dnia 29 stycznia. Ulica, którą przechodził generalny konsul angielski A. P. Murray i wicekonsul M. Saint Clair była prawie zupełnie pusta. Ten wzgląd wskazuje na to, że kozakom chodziło tylko o pohulanie sobie na spokojnych przechodniach. Jak okiem sięgnąć nie było widać żadnych ludzi i gdy na ulicy pojawili się obaj dyplomaci, oficer kozacki dał wyraźny rozkaz, aby na nich najechano konno. Kozacy wpadli na obu dyplomatów, a jeden z kozaków ciął szablą wicekonsula w głowę. Wicekonsul padł zakrwawiony na ziemię i jako ciężko ranny został odwieziony do szpitala. Sam konsul począł uciekać i zdołał schronić się do najbliższej bramy i w ten sposób uniknąć katastrofy.

Prasa angielska była oburzoną całem tem zajściem i w nader ostrym tonie wystąpiła przeciw Rosyi. Jedna z gazet „Daily Mail“ żąda nawet, aby natychmiast postawiono Rosyi ultimatum i zmobilizowano flotę. Oburzenie Anglików na Rosyę jest zupełnie zrozumiałe, tem bardziej, że od jakiegoś czasu obywatele angielscy nie są wolni od napadów Rosyi, która prawdopodobnie mimowolnie powoduje i wywołuje coraz to nowe konflikty, z których wygrzebać się później nie jest w stanie.

Rycina nasza przedstawia natarcie kozaków na konsulów. Wicekonsul zraniony ciężko leży we krwi na bruku, a konsul zasłania się przed możliwem cięciem i zmierza do najbliższej bramy kamienicznej, by tam się schronić przed napadem.



Nowy gabinet francuski: Maurycy Rouvier, obecny prezydent gabinetu i minister skarbu.

Nowy gabinet francuski.

Po ustąpieniu Combesa, a wraz z nim i całego gabinetu ministeryalnego nikt nie wiedział, kto stanie na czele oficyalnej polityki Francyi. Rozprawiano o najróżnorodniejszych kandydatach i po długich naradach prezydent republiki Loubet powierzył misyę utworzenia gabinetu deputowanemu Maurycemu Rouvierowi.

Deputowany Rouvier wchodzi w skład Izby od roku 1871. Urodził się w r. 1842 w Aix, a ukończywszy studya prawnicze brał czynny udział w walce opozycyi przeciw drugiemu cesarstwu. W roku 1870 zostaje generalnym sekretarzem departamentu Bouches-du-Rhône.

Wybrany w r. 1871 jako deputowany, przyłączył się do najskrajniejszej lewicy. Od tego czasu przy każdych wyborach zwyciężał i wchodził w skład nietylko Izby ale i wielu gabinetów. Przedewszystkiem dał się poznać jako rzeczowy znawca w sprawach finansowych i handlowych. To też jako fachowy znawca, był pożądanym w każdym prawie gabinecie i nieraz już był ministrem handlu i skarbu.

I teraz przyjąwszy prezydenturę gabinetu zatrzymał dla siebie tekę ministerstwa skarbu, by módz pod względem finansowym zaopatrzyć republikę w środki materyalne, konieczne do utrzymania Francyi dzisiejszej na wysokości potężnego mocarstwa i do przeprowadzenia tych reform natury społecznej, które czekają na wprowadzenie w życie.

Nowy gabinet przedstawia się w nowym składzie następująco: Prezydyum i skarb Rouvier, sprawiedliwość Chaumié, sprawy zagraniczne Delcassé, sprawy wewnętrzne Etienne, wojna Berteaux, marynarka Thomson, kolonie Clementel, budowle publiczne Gauthier, oświata Bienvenu-Martin, handel Dubief, rolnictwo Ruan, podsekretarzem państwa dla sztuk pięknych Du Jardin-Beaumetz, podsekretarzem skarbu Merlon, podsekretarzem poczt i telegrafów Bernard.



Demonstracya robotnicza w Krakowie: Policya krakowska usiłuje odebrać demonstrantom rysunek mający przedstawiać cara Mikołaja II.

Nowy gabinet ma prowadzić dalej politykę Combesa i walczyć dalej z nacyonalistami, by usunąć wszelką możliwość zamachu z ich strony na republikę.

Demonstracya robotnicza w Krakowie.

W ubiegły czwartek dnia 2 lutego odbyli w Krakowie socyaliści zgromadzenie ludowe, na którem omawiano rewolucyę w Rosyi i w Królestwie Polskiem.

Po zgromadzeniu ruszyli zebrani w wielkiej liczbie na rynek wielki. Tłum wraz z ciekawą publicznością wzrósł do kilku tysięcy.

Policya usiłowała zatrzymać i rozprószyć demonstrujących — ale daremnie. Przebojem dostali się wszyscy na Rynek. Koło pomnika Mickiewicza zaroiło się od tysiąca ludzi, a ponad ich głowami powiewały chorągwie. Nagle wzniesiono do góry na drewnianym drążku osadzony rysunek wielkiego formatu, wykonany kredką na tekturze, a mający wyobrażać cara Mikołaja II. Podłożono pod niego ogień żeby go spalić, lecz wtem rzuciła się policya z wyciągniętymi pałaszami na tłum, by zapobiedz egzekucyi. Policya rąbała pałaszami w prawo i w lewo i mimo, że tłum ustępował i cofał się w boczne ulice. Główny zastęp ustępujących wpadł na publiczność stojącą przed cukiernią Rehmana i Hendricha w Sukiennicach. Publiczność nie mająca się gdzie cofnąć, uderzyła falą o duże szyby lustrzane cukierni. Szyby z brzękiem padły na asfalt, rozbite na drobne kawałki. Rozległ się krzyk przerażenia. Od czasu do czasu było słychać głuchy cios szablą i krzyk ranionego. Żołnierze jakby nie pouczeni co mają robić, do którego miejsca wolno im usuwać tłumy, rąbali w zapale, co sił starczyło, wpadli nawet pod arkady, aż oparli się na ścianie.

„Materyał, z jakiego się składa krakowska straż policyjna — pisał pod wrażeniem wypadku nawet najumiarkowańszy organ krakowski „Czas“ — nie zasługuje chyba, aby mu z zupełną ufnością, bez wskazówek i komendy, dawano swobodę w traktowaniu ludności“.

Ofiar demonstracyi było bardzo wiele, bo aż przeszło dwadzieścia osób poranionych, a z tych ośmiu tak ciężko, że musieli pozostać w klinice chirurgicznej. Demonstracya była jedną z największych, jakie Kraków widział od lat kilkunastu.

Rycina nasza, wykonana przez naocznego świadka, przedstawia chwilę, kiedy policya usiłuje odebrać demonstrantom obraz.



S. p. Władysław Roman, artysta dram. teatru lwowskiego.

Ś. p. Władysław Roman.

Bolesny cios dotknął scenę lwowską. Młody, znakomity, w pełni rozwoju świetnego swego talentu — artysta Władysław Roman — pożegnał ten świat na zawsze.

Smutne było życie tego człowieka i tragiczny zgon jego. Przed kilku dniami zachorowało mu dziecko, na drugi dzień zapadła zaś na zdrowie i służąca. Ś. p. Roman zerwał się ze snu — było to bowiem w nocy — i pobiegł do miasta po lekarza. Wróciwszy do domu uczuł, że sam jest niezdrów. Pomimo jednak, że w nocy rozwinęła się silna gorączka i nastąpiły znamienne, niepokojące symptomy: kłucie w piersiach — sumienny ten artysta nie chcąc zaniedbywać swoich obowiązków — udał się wieczorem, jak zwykle, do teatru i grał w sztuce Wyspiańskiego „Legenda“. Był to ostatni dzień służby artystycznej nieboszczyka. W domu rozwinęła się dopiero na dobre choroba, a przywołany do łoża chorego lekarz — stwierdził gwałtowne zapalenie opłucnej i zadecydował, że zaraz nazajutrz należy Romana przewieść do kliniki. Było to w sobotę popołudniu. W niedzielę miano dokonać przewiezienia chorego; tymczasem w nocy o godzinie 1 przyszedł paraliż serca i spowodował zgon.

Żałobna wieść obiegła lotem błyskawicy zaraz na drugi dzień miasto. Dom żałoby był formalnie oblegany przez przyjaciół i wielbicieli jego talentu spieszących z słowami pociechy i współczucia osierociałej małżonce i dziecku artysty. Nadeszły również liczne telegramy kondolencyjne, między



Fot. Münz. Lwów.

Ś. p. Władysław Roman: Kondukt pogrzebowy przed teatrem miejskim we Lwowie, podczas przemówienia reżysera p. Ludwika Solskiego.

innemi od dyrekcyi teatru krakowskiego, poznańskiego, łódzkiego i teatrów warszawskich, od poety Rydla, Redakcyi „Nowości Illustrowanych" w Krakowie i wielu wielbicieli talentu przedwcześnie zgasłego artysty. U trumny ś. p. Romana złożyli wieńce artyści teatrów m. Lwowa, dyrekcya teatru, Chór, członkowie orkiestry, koledzy z Krakowa, dyrekcya teatru krakowskiego, koledzy i dyrekcya teatru poznańskiego, Kazimierz Kamiński — i olbrzymi wspaniały wieniec wielbiciele jego talentu i przyjaciele.

Dnia 1 b. m. odbył się smutny obrzęd pogrzebowy. Śmiertelne szczątki nieboszczyka złożone zostały w krypcie OO. Bernardynów. Nieprzejrzane tłumy ludności obległy kościół. O godz. 3 popołudniu po odprawieniu żałobnego nabożeństwa — wyniesiono trumnę na karawan. Teraz zabrzmiały kolejno nad zwłokami żałobne pienia: Chóru teatralnego, który odśpiewał „Requiem" Schuberta, chóru teatru ruskiego, (marsz żałobny Beethovena) i wreszcie chóru akademickiego, który wystąpił z pieśnią Mendelsohna „Beati mortui".

Na czele konduktu postępowała kapela narodowa i duchowieństwo. Za karawanem, zakrytym literalnie wieńcami, wstęgami i kwiatami — szła najbliższa rodzina, koledzy zmarłego z dyrektorem Pawlikowskim na czele — polscy dziennikarze z prezesem swym A. Krechowieckim — delegaci obcych teatrów — wreszcie przyjaciele, znajomi i tłumy najróżnorodniejszej publiczności.

Kondukt przechodził także obok gmachu teatru, a w tej chwili zabrzmiał z balkonu potężny chór połączonych towarzystw dramatycznych: polskiego i ruskiego.

Tu także — po skończonych pieniach — pożegnał nieboszczyka imieniem kolegów reżyser teatru miejskiego p. Ludwik Solski — poczem kondukt ruszył na cmentarz zamarstynowski, gdzie spoczęły zwłoki wielkiego artysty.

O niepospolitem uzdolnieniu zmarłego pisaliśmy w naszem piśmie przed niedawnym jeszcze czasem kreśląc sylwetkę znakomitego artysty, nie przypuszczając, że będziemy musieli niedługo — poświęcić mu wspomnienie pośmiertne.

Walka wyborcza na Węgrzech.

Walka wyborcza na Węgrzech była — jak już pisaliśmy — nadzwyczaj zaciętą. Cały naród był zaangażowany w tej walce, która miała rozstrzygnąć o losach przyszłej polityki Węgrów. Na szalę tej walki położyła opozycya i rządowa partya liberalna wszystkie swoje nadzieje na przyszłość — i jedna i druga strona przystąpiła do tej walki z całym aparatem środków wyborczych.

Wszyscy wiemy, że aż z Galicyi ściągnięto wojsko na Węgry w celu utrzymania spokoju, który przy roznamiętnieniu wyborczem łatwo mógł zostać zakłóconym. Czasy przedwyborcze dostarczyły faktów takich, na podstawie których można było wnioskować, że agitacya przy samych wyborach będzie jeszcze gwałtowniejsza.

Węgrzy znani są ogólnie ze swych krewkich temperamentów i z namiętności wyborczej — ale sytuacya polityczna była obecnie tak rozogniona, że spodziewano się walki przy wyborach nie tylko na pięści, ale i na noże. I fakta takie miały miejsce, a przy walce dochodziło do tego, że strzelano z rewolwerów, a w braku broni rzucali się wyborcy na siebie i gryźli zębami!

Jak wielkie sumy pieniężne pochłonęła walka wyborcza, trudno określić; wiadomą jednak jest rzeczą, że rządowa partya liberałów rozporządzała kilku milionami.

Ciekawie wyglądają miasta w czasie wyborów. Jak z załączonych fotografij Budapesztu widać, ulice były w dniu wyborów udekorowane narodowemi chorągwiami i sztandarami, a na nich było wypisane nazwisko kandydata wielkiemi zgłoskami. W biurach jednej lub drugiej partyi, znajdujących się we wszystkich dzielnicach miasta, wypełniano listy głosowania nazwiskiem kandydata, a przed kantorami takich biur cisnęły się tłumy, żywo rozprawiając o szczegółach walki wyborczej. Największe tłumy zbierały się przed budynkami i domami, w których znajdowały się urny wyborcze.



Walka wyborcza na Węgrzech: Widok ulicy Andrassy'ego, ponad którą zwieszają się chorągwie z wypisanem na nich wielkiemi literami nazwiskiem Vatcsoniego kandydata opozycyi.



Wygląd miast rosyjskich w czasie rewolucyi: Kuchnie polowe gotują strawę dla biwakującej przed pałacem cesarskim w Petersburgu gwardyi.

Tu rozwieszono na drutach ponad ulicami olbrzymiej wielkości chorągwie, na których znajdował się napis kandydata na posła.

W VI. okręgu Budapesztu kandydował na posła z partyi opozycyjnej demokrata Vatcsoni, a z partyi liberalnej minister kolei Hieronymi. Oto na pierwszej z załączonych rycin widzimy olbrzymie sztandary, zwieszające się ponad ulicami, a na nich na białem polu wielkiemi literami wypisane nazwisko Vatcsoniego. Wśród tłumu można rozpoznać także ułanów na koniach, pilnujących spokoju i porządku.

Druga z rycin jest jeszcze ciekawszą. Przedstawia ona część ulicy Andrassy'ego. Na kamienicy przystrojonej chorągwiami narodowemi widnieje wielki szyld partyi liberalnej z reklamą dla Hieronymi'ego.

Powozami dwukonnymi wiozą wyborców, a siedzący obok woźnicy trzyma chorągiew z wypisanem na niej nazwiskiem kandydata tej partyi, która powóz wynajęła.

Roznamiętnieni Węgrzy zdobywają się jednak na taką elegancyę i grzeczność, że wyborców swoich podwożą powozami do urn wyborczych.

Tłum, stojący na ulicach, przelicza przejeżdżające powozy i w ten sposób oblicza głosy oddane za jednym i za drugim kandydatem, zanim się dowie z urzędu o wyniku wyboru.

W VI. okręgu budapeszteńskim, skąd pochodzą i nasze fotografie, przeszedł demokrata poseł **Vatcsoni**, który otrzymał 4043, podczas gdy minister Hieronymi zaledwo 3812.

Wygląd miast rosyjskich w czasie rewolucyi.

Miasta rosyjskie w ostatnich dniach zmieniły swój wygląd zewnętrzny.

Z dawnych centrów przemysłowych, ruchliwych, tłumnych, rojących się od przechodzących mieszkańców, przejeżdżających ulicami wozów, dorożek, tramwajów, stały się nagle miejscami walki krwawej, a na ulicach pobudowano barykady. Gdy przedtem walka o byt codzienny, o kawałek chleba, o światło i wiedzę toczyła się bez udziału salw karabinowych, to dziś ulice zapełniły się rojami ludzi, którzy opuścili swe ciemne i ciasne izby mieszkalne i gromadnie do walki wystąpili o cele wspólne wszystkim.

Życie w tych miastach nie jest bynajmniej słabsze – owszem, bije ono silniej i żywiej, niż kiedyindziej, to życie, które rozwinęło się i wyrosło w dniach ostatnich, jest życiem prawdziwem, gdyż przedtem dusili się wszyscy w ramach ukazów policyjnych, które zagrabiały mieszkańcom wolność swobodnego poruszania się i omal, że nie chciały wydrzeć z serc i mózgów wszelkiej myśli swobodnej i wolnej.

Ulice i place stały się pobojowiskami, bruki ściekały krwią i zawalone były zwłokami tych, którzy padli, walcząc o swe prawa.

Gdy przedtem nie wolno się było zebrać na ulicy większej gromadce ludzi, gdyż natychmiast zwracali oni na siebie uwagę policyi – dziś miasta rosyjskie są świadkami olbrzymich ludowych zgromadzeń, na których bywają wygłaszane zapalne mowy, rozdawane odezwy i proklamacye rewolucyjne.



Napad kozaków na konsula angielsk. w Warszawie: Kapitan A. P. Muray, angielski generalny konsul w Warszawie.

Sam zewnętrzny wygląd mówi, że wewnątrz musi się coś gotować, coś ważnego dziać. Po ulicach przeciągają secinami kozacy, ten najdzikszy rodzaj żołdaków, gotowy na skinienie oficera bić i tratować najspokojniejszych przechodniów, rozbijać głowy, siec nahajkami i szablami każdego, kto się nawinie pod rękę – byle tylko dać upust swej krwiożerczej żyłce. Przed gmachami rządowymi, przed pałacami, stoją roty pieszych żołnierzy, którzy biwakują na placach publicznych dniem i nocą.

Nawet artylerya nie spoczywa, ale stoi gotowa, by przy najbliższej sposobności zrehabilitować się i zmazać z siebie tę plamę, jaką obciążyła ją baterya gwardyi w czasie tegorocznej uroczystości Jordanu.

Sklepy pozamykane wszystkie bez wyjątku. Nawet aptekarze pozamykali swe sklepy! Urzędnicy wszystkich kategoryj powstrzymali się od urzędowania – i w ten sposób zaznaczają, że dopóki wewnętrzny spokój i reforma nie nastąpi, oni nie mogą wykonywać swych czynności. Okna i drzwi sklepowe pozabijane deskami, tak, że miasto i ulice mają zupełnie wygląd miejscowości w stanie oblężenia.

Zamieszczone w tym numerze fotografie ulic Petersburga, przedstawiają secinę kozaków, patrolującą na ulicy i gwardyę straży przed pałacem cesarskim.



Walka wyborcza na Węgrzech: Wyborcy jadą powozami do głosowania.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

20 (Ciąg dalszy).

— Może być, że się z tem co zrobi — rzekła Maryna.

— Na każdy sposób niech nam pani raczy zezwolić. abyśmy cały dom obejrzeli dokładnie. Zaprosiłem wspólnika. bo on się zna na domach, lepiej niż ja.

Marynie było to bardzo nie na rękę, bo w pokojach Izabelli niczego od jej zamordowania nie posprzątała, lękając się tam wejść. Stały zamknięte. A nuż tam znajdzie się coś takiego, czegoby nikt widzieć nie powinien? Ale co tam? tacy kupcy. niech sobie oglądają. Zaprowadziła ich na piętro, otworzyła drzwi zardzewiałym kluczem, a sama zeszła prędko na dół, nie mając odwagi wejść do środka.

Kupcy oglądali wszystko bardzo dokładnie, a szczególnie zaciekawiły ich niepozorne drzwiczki w sypialni, zakryte portyerą, tak upiętą, że wyglądała jakby uzupełnienie firanek u okna. Drzwiczki były zamknięte, ale jeden z kupców dobył wytrycha z kieszeni i po kilku próbach drzwi się rozwarły. Był to gabinet, do łazienki przytykający, służący zapewne za kapielową szatnię. Okna tu nie było, tylko z łazienki, przez oszklone drzwi, dochodziło światło. Na środku był stolik, obok dwa krzesła. Na stoliku spostrzegli pyłem okryte, spleśniałe i cuchnące resztki jakiegoś mięsiwa, skamieniałe kawałki chleba, dwie szklanki i kilka wypróżnionych flaszek z wina, tudzież rozrzucone karty i niedopalone świece. Jeden z kupców dostrzegł na dywanie pod stołem, kilka sztuk złotej monety, podniósł je skwapliwie i schował. Z większą jeszcze skwapliwością przypatrywał się kartce papieru, którą również znalazł pod stołem. Były na niej te słowa, skreślone ołówkiem: „Obliczyłem się z Ludwikiem. Winien mu jestem z dawnego marek 200, a dziś dodał mi tysiąc osiemset. Te dwa tysiące oddam mu ze spadku po stryju. Edward 3/7“. Tę karteczkę schował jeden z kupców bardzo starannie do pugilaresu, poczem chodzili po wszystkich kątach, a widać, że już niczego nie byli ciekawi, bo zeszli na dół dość prędko, z czego Czerwona Maryna bardzo była zadowolona.

— Niebrzydki dom — rzekł jeden z kupców, tylko szkoda, że piętro zawsze zamknięte. Czemuż to tam pani nie porobi porządku?

— Ja tam nawet nie chcę zaglądać. Toć przecie wiecie już panowie, jak mi to wszystko przykro.

— Czy nie mogłaby nam pani powiedzieć, gdziebyśmy mogli teraz pana Ludwika znaleść?

— A czyż ja wiem? On tu mało kiedy do mnie zagląda.

Kupcy pożegnali się z Czerwoną Maryną i odjechali.

* * *

Baronowa doznawała ciągłej obawy. że lada dzień wpadnie jakaś komisya sądowa, żeby ją wywłaszczyć i oddać majątek Ludwikowi, to też przeraziła się okropnie, gdy dwóch, nieznanych mężczyzn wysiadło z powozu przed tarasem dworu. Czujny na wszystko Bertold. już wyszedł naprzeciw nich, a i on się zaniepokoił. gdy jeden z przybyłych oświadczył, że musi widzieć się z baronową w sprawie pilnej.

Baronowa zebrała siły, by nie okazywać lękliwości i przyjęła obu nieznajomych w małym saloniku.

— Jestem Greif, komisarz policyi — rzekł jeden z przybyłych — a to mój pomocnik, pan Spür. Pani wybaczy. że mącimy spokój tego zacisza, zdaje mi się atoli, że to będzie dla pani baronowej nie bez korzyści, a może... może nawet skończy się prawdziwem dla pani szczęściem.

Baronowa zdziwiła się niezmiernie, nie mogąc sobie wyjaśnić, jakieby to szczęście być miało, ale uspokoiła się też zupełnie, widząc, że to nie sądowa komisya, że nie przybywają ci nieznajomi, aby ją wyrzucić.

Natomiast wpadło jej na myśl, że ci ludzie przybyli może po Sternega? Może się dowiedziano, że się tu ukrywa?

— Pani baronowa zeznała stanowczo, przed komisyą sądową, że młody baron nie dopuścił się morderstwa, o które go posądzono — rzekł Greif.

— Tak panie, i gotowa jestem przysięgać na to, że mój syn nie mógł dopuścić się zbrodni.

— Rozumiem to, że matka nie może inaczej czuć i myśleć. Ale czy też pani baronowa, po za uczuciem matki, nie miała innych powodów do tych zapewnień o niewinności swego syna?

— Niepodobna mi na to odpowiedzieć, bo to, co mi powiada jakiś głos wewnętrzny, jakieś przeczucie, nie może być ani dowodem, ani oskarżeniem, ani posądzeniem wobec prawa.

— A jednak byłoby to dla mnie bardzo ważne. Inaczej sąd zajmuje się takiemi sprawami, inaczej policya. Sąd musi opierać się na faktach, policya szuka nawet drobnej poszlaki.

— Gdybym panu powiedziała to, co przeczuwam, czego jestem pewną, mogłabym się narazić na odpowiedzialność, nie mając na poparcie słów nic innego, tylko przeczucie, jakieś jasnowidzenie, rozdartego serca macierzyńskiego.

— Zaręczam pani, że w tej chwili nie rozmawiam z urzędu, ale jako człowiek, który wpadł na trop faktów, mogących uniewinnić barona.

— Boże! co pan mówi? Czyżby już odsłonił się nikczemnik, którego mi przeczucie wskazało?

— Niech pani raczy zupełnie szczerze bez żadnej obawy, powiedzieć mi wszystko.

— Nawet wobec takiego nikczemnika, nawet po zapewnieniu pańskiem, nawet mimo najsilniejszego przekonania, iż się nie mylę, trudno mi powiedzieć: on zamordował.

— Czy pani zna syna tak zwanej Czerwonej Maryny?

— Morderca!

— Przeczucie pani może nie zawiodło.

— Boże! oby się prawda wykryła!

Greif pytał o różne szczegóły, tyczące się Ludwika. Czerwonej Maryny i o przebieg sprawy z Izabelą a wreszcie zakończył:

— Nie zamierzam nawet prosić pani o podanie mi adresu syna, bo wiem, że serce matki na to by się nie zgodziło. Ale bardzo proszę, aby pani uprzedziła barona, że prawdopodobnie będzie musiał wkrótce ponownie poczynić zeznania wyjaśniające, potrzebne do stwierdzenia tych poszlak, które posiadamy.

* * *

Odjechali. Baronowa napisała o wszystkiem do Ryszarda i oddała list proboszczowi, a on go wyprawił na pocztę.

Przyjaciele.

W miasteczku, odległem od stolicy, siedział w gospodzie za stołem młody robotnik, w niebieskiej bluzie. Twarz mu okalała gęsta broda. Nikt się o niego nie troszczył, bo miasteczko fabryczne, robotników pełno. Brzydki był, niemiły, ale że to było wieczorem, a izba licho oświetlona, więc mu się dobrze przypatrzeć nie było można.

Popijał piwo, jak ten, co odpoczywa po pracy, ale bacznie przypatrywał się ludziom. Wchodził jeden, wychodził drugi! tu i owdzie siedzieli gromadkami ludzie rozmaicie odziani, rozmaitego wyglądu, ot — jak to zwykle w gospodzie.

Znowu wszedł gość, na robotnika wyglądający, w ubraniu wytartem, osmolony, brudny, widać, że wprost od roboty przybywa. Rozpatrywał się po izbie, jakby tu szukał znajomych, a zobaczywszy miejsce próżne przy brodaczu, siadł sobie naprzeciw niego i piwa podać kazał. Brodaczowi się nie spodobało, że mu się nowy gość tak bystro przypatruje, jakby go chciał zaczepić. Dopił prędko piwa i zabierał się do wyjścia, gdy przybyły przemówił niby nieśmiało.

— A możebyście chwilkę zostali?

— Nie chce mi się — odrzekł brodacz opryskliwie.

— Ale proszę was. Chciałbym się dowiedzieć, czy też gdzie pracy nie znajdę. Przyszedłem tu piechotą, bo nie było za co jechać. Mówili mi, że tu pracy dość, bo fabryk wiele, a u nas bieda wielka, zarobku nie ma. Poradźcież.

— Macie tu innych dość, to się ich radźcie, a ja nie mam na to czasu.

To rzekłszy wstał brodacz, zapłacił za piwo i wyszedł, a nowy gość, rzuciwszy na stół pieniądze za piwo, zostawił je w szklance i wybiegł za brodaczem. Na ulicy przyłączył się do niego.

— Czego wy chcecie odemnie? co? odczepcie się, bo was trącę — rzekł brodacz.

— Jacyście to nie uczynni. Ja was pięknie proszę, żebyście mi poradzili.

Brodacz niecierpliwił się widocznie, a może i niepokoił czegoś, bo zaczął się oglądać w prawo i w lewo, potem stanął i obejrzał się za siebie. Za nim szedł żandarm. Niech sobie idzie. Ba! czemuż także się zatrzymał? Brodacz wzdrygnął się i skoczył na bok, jakby chciał go uniknąć, ale natrętny gość chwycił go silnie za ramię, a żandarm zastąpił mu drogę.

— Piękną masz brodę — rzekł gość natrętny.

— Co to jest? czemu mnie zatrzymujecie? — krzyknął brodacz.

— Właśnie ta twoja broda tak mi się spodobała.

To rzekłszy, szarpnął nieznajomy robotnika za brodę i oderwał ją łatwo.

— A, pan Ludwik, pan dziedzic Adlersfeldu, syn Czerwonej Maryny! Witam pana dziedzica — szydził nieznajomy. I broda nie przydała się na nic. Teraz ptaszku już nam nie uciekniesz.

— A ty przeklęty szpiclu! — wrzasnął Ludwik i zręcznym ruchem dobywszy noża, przebić chciał ajenta policyjnego, lecz żandarm chwycił go za rękę, nóż wyrwał, potem z pomocą ajenta założył mu na ręce łańcuszki.

— Tak paniczu, teraz ci się ten nożyk na nic przyda. No, no, czemuż to pan dziedzic Adlersfeldu tak się przebrał? Może to na jaki bal maskowy?

— Zamknij dziób!

— A, jaki też pan popędliwy! Pan komisarz Greif chciał się z panem widzieć, a pan taki niegościnny, że uciekł przed gośćmi. W policyi chciano pana poprosić o pewne wyjaśnienia. Po cóż było uciekać od swojej mamy? W łańcuszkach nie wygodnie, co? A czemuż to pan taki niecierpliwy i do noża pochopny?

Zaszli do miejskiego aresztu, gdzie Ludwika wtrącono do ciemnej sklepionej izby.

— Może nie bardzo tu będzie wygodnie. Przepraszam pana dziedzica, że pan tu przenocować musi, bo dopiero rano pociąg odchodzi do stolicy.

— Bodaj cię pokręciło przeklęty łotrze! — wrzasnął Ludwik.

Zdjęto zeń łańcuszki. Drzwi żelazne zawarto i zasunięto żelaznym drągiem.

Ludwik wytężał wzrok w ciemnicy i zaledwie wysunął ręce przed siebie, żeby po omacku iść w głąb izby, ktoś się odezwał.

— Po głosie domyślam się, że to znajomy.

— A któż tu u kaduka?

— Nie gniewaj się sąsiedzie.

— Nie rozdzieraj darmo gęby, jeno gadaj ktoś ty?

— O, teraz to już prawie pewien jestem, że to mój Ludwiś kochany.

— A skoro mnie znasz, to gadajże ktoś ty?

— A widzisz, żem zgadł. A ty mnie po głosie nie poznasz?

— Ja się na muzyce nie znam.

— A fajo jakaś, to ja Edek.

— Edek! A skądże cię tu dyabli przynieśli?

— Długa historya. Ot, nie miałeś szczęścia, gdyś mi dał owe tysiąc osiemset marek, bo się wnet rozeszły. A może je duch Kronbergowej zaczarował. Fiu, fiu, poszły prędko. Trzeba się było zabrać do pracy. Trafił się interes doskonały. Był głupi, co szedł z grubemi pieniądzmi w nocy, odludną ulicą i nie chciał ich zgubić. Był też bardzo skąpy i dać ich nie chciał, więc musiałem się trudzić i sam je wziąć. Głupiec, grubiańsko gruchnął mnie bokserem i zaczął krzyczeć. Żal mi było ludzi, co sobie spokojnie spali w kamienicach, żeby ich nie zbudził z miłego snu, więc porachowałem mu żebra sztyletem i w nogi z nabitym pugilaresem. Bestya była twarda, bo się ocknął potem, wylizał i opisał mnie szelma tak, jakby fotografował gębą. Dyabli nadali, że się ta sprawa jakoś niechcący pod samą latarnią odbyła, więc mi się dobrze przypatrzył. Jak tylko zwąchałem, że mnie tropią, tak w nogi. Jeździłem sobie po świecie wesoło, aż mi już i brakło. Na swoich śmieciach człowiek śmielszy do interesu. Wróciłem, by się puścić na jakie przedsiębiorstwo z tobą na spółkę. Wybrałem się do twej matki, aż tu mnie skorciło po drodze co zarobić. Sięgnąłem na targu jakiemuś gamoniowi do kieszeni, zobaczywszy, że tam schował pękaty worek z markami, aż tu żandarm dopatrzył i chwycił mnie. Trzymają mnie tu trzeci dzień, bo się chcą dowiedzieć, co ja za jeden. A ja im codzień inaczej się przedstawiam. Ot, i tyle. A ty co Ludwiczku?

— Ho, ho! Miałem różne interesa, a nawet do spółki z książętami.

— Co też gadasz?

— A prawda. Na honor! Jakom żyw! Ale o tem, potem. Tymczasem tyle, że mnie u matki chcieli chwycić. Już mnie nawet szpicel trzymał, alem go zamalował po gębie, aż się wywrócił i dałem w nogi. Wiedziały hycle, żem teraz pan, bom ci chodził elegancko, jak hrabia, jak spólnik książęcy. Żeby ich zmylić przyprawiłem brodę, przebrałem się za robotnika i wlazłem w tę dziurę, żeby tu na jakiś czas utonąć między tysiącem roboczego ludu. Ale mnie zwęszyli, no i jestem. Psia-

krew! ten złodziej marszałek ma długie ręce. Ej, ta spółka z księciem nie wyjdzie mi na zdrowie.

— Co ty wciąż bajesz o spółce z księciem?

— Potem, potem. Dowiesz się, czemu nie. Ale co teraz począć? Jak mnie oddadzą Wurmowi, to po mnie. A nuż ten złodziej zwącha i to, co się stało z Kronbergową?

— Ludwiś! Cicho. Górą nasza. Ja tu nie darmo trzy dni siedzę. Mnie też nie pilno stąd, bo jak mnie zawiozą do stolicy, to i po mnie. Ta pokraka nocna mnie pozna i gotowi mnie schować do ula, a toby mi popsuło interesa. Ale niedoczekanie ich. Ludwiś. Słuchaj. Uciekniemy.

— Waryat!

— Nie waryat, ale Edek, mądry Edek. Chodźże, trożnie. No, jeszcze, tak. Teraz namacaj; coś nacał?

— Niby deski.

— A deski. Zgadłeś. A wiesz ty jakie? O... nie wiesz. Od komina. Oblepili, obielili i myśleli, że nigdy nie znajdzie się mądry, co je ujrzy. A to głupie bydło w tych stronach, że się nikt na tem nie poznał. Jużem zazierał i zobaczyłem, że można gładko kominem na dach wyjechać. To chałupa bez piątra, za nią ogródek, a za ogródkiem lasek. Górą nasza.

— Edek, z ciebie zuch.

— Oczywiście.

— A cóż ty poczniesz potem?

— Fiu, mam wielki plan. Muszę już raz wyjść na pana. Widzisz umyśliłem sobie powrócić do stryja, żeby coś dostać. A może się tam uda jaki interes?

— Jakże pojedziesz bez parady?

— Niby co?

— A no, jeżeliś obdarty, to cię stryj wyrzuci. Dobra twoja myśl, ale trzeba robić mądrze.

— Przed dwoma laty napisałem do stryja, że jadę do Ameryki. Przysłał mi pieniędzy na drogę. Teraz umyśliłem sobie wrócić do niego z Ameryki.

— To dobrze, ale wrócić niby z dorobkiem, niby porządnie i przystojnie.

— Ba, nie ma za co.

— Będzie. Ja mam. Ja ci dam. Ustroję cię. Ale wiesz co? ja tu nie mam co robić, to pojadę z tobą. Będę niby bogaczem amerykańskim, co chce kupić majątek. Ja ci tam we wszystkiem pomogę. Gdy zrobimy ze stryjaszkiem interes, to mi oddasz.

— Doskonale. Górą nasza!

* * *

Nazajutrz rano gwałt powstał wielki w miasteczku, że dwóm niebezpiecznym opryszkom udało się uciec kominem z więzienia.

Wyznanie.

Miesiące prędko upływały, jeden za drugim a Ryszard nie mógł otrząść się z tęsknoty za matką, z żałoby za Hanią i ze wstydu, że u zacnych ludzi przebywa pod obcym nazwiskiem. Stosunek z Freudenbergami stawał się coraz serdeczniejszy, coraz poufalszy, więc tem bardziej dręczyło to Ryszarda, iż ukrywać się musi. Kilkakrotnie zapędzał się, by wyznać wszystko, ale żal mu było nie siebie, lecz dobroczyńców, bo mniemał, że im największą wyrządzi tem przykrość, że nie uwierzą w jego niewinność, że doznają dotkliwego rozczarowania.

Freudenberg poznał dopiero teraz, czem jest uczciwa pomoc w gospodarstwie. Dochody się mnożyły, porządek we wszystkiem wzmagał, we wszystkiem był rygor, ale i uprzejmość. Ryszard miał dla podwładnych żelazną rękę, w aksamitnej rękawiczce. Rozum i serce jednoczyły się w nim harmonijnie, energia ze spokojem, zapał do pracy z wytrwałością, rzutność i pomysłowość z rozwagą.

W dalsze okolice rozchodziła się sława młodego gospodarza i zaczęto go zazdrościć Freudenbergom. Oczywiście, że to Ryszarda cieszyło, ale nie usuwało smutku, tęsknoty, żałoby. Największą radość sprawiały mu listy matki, wyczekiwał ich też zawsze z upragnieniem.

Pewnego dnia otrzymał list grubszy, niż zwykle. Wziąwszy go do ręki, lękał się czy może już nie spełniło się nieszczęście, którego matka wyczekiwała, czy nie odebrano jej Adlersfeldu. Z obawą też zabrał się do czytania, ale wnet rozjaśniło mu się oblicze i ogromne zadowolenie rozlało mu się na twarzy.

A więc jest nadzieja, że zdejmą hańbę z jego nazwiska, a więc są już na tropie istotnego mordercy! Był to list, który baronowa napisała po bytności komisarza Greifa. Tak się uradował tym listem, że aż Freudenbergowie spostrzegli zmianę w jego usposobieniu. Całą noc nie spał, bo rozbudzone nadzieje nasuwały mu ponętne złudzenia, że za lada godzinę sprawa się wyjaśni, że sąd orzeknie o jego niewinności, a zbrodniarza ukarze, że to już, już za chwilę nastąpić musi.

— Co się paniczowi stało — rzekł Hans do Freudenberga, przyszedłszy zrana do jego gabinetu. Widziałem w nocy światło w jego pokojach, więc poszedłem zobaczyć, czy nie chory. Zdrów był, chodził, prawie biegał po pokoju i podnosił oczy w górę, jakby się modlił, to ręce do modlitwy składał, to znowu śmiał się do siebie samego. Potem siadł nagle, zasłonił twarz rękoma i wzdychał ciężko, a kilka razy wyrwało mu się przy tem: „Haniu! Haniu!“ Tak biedactwo nie może zapomnąć swej żony. Ale czemu on się tak śmiał, tak cieszył? Możeby po doktora posłać?

— Hm, hm — to dziwne, doprawdy dziwne. Sam już dostrzegłem zmiany. Dobry z ciebie człowiek Hans, że pilnujesz barona. Cieszy mnie to, dziękuję ci. Po doktora jeszcze nie poszlemy, dopóki się nie rozmówię z baronem. Może to z tego listu taka radość, co go wczoraj dostał. Hm, hm. No, dobrze. A co? prawda? uczciwy człowiek? ha?



.. szarpnął nieznajomy robotnika za brodę i oderwał ją łatwo.

— Oj co uczciwy, a chwat, to prawda. To prawdziwy pan. Gdyby żył nasz panicz, toby się do siebie nadali, jakby jakie bliźniaki.

— A no, rzeczywiście.

W godzinę potem, gdy siedziano przy herbacie, zaczął Freudenberg rozpytywać Ryszarda w sposób delikatny o to wszystko, czego się dowiedział od Hansa. Ryszard mówił, że go wiadomości z kraju tak ucieszyły.

— Miałem serdecznego przyjaciela — mówił — przyjaciela, którego znałem na wskróś i wiedziałem, że był uczciwym i honorowym. W okolicy popełniono morderstwo na osobie bogatej, a że mój przyjaciel był właśnie u niej w sprawach familijnych na chwilę przed popełnieniem zbrodni, jego o to posądzono i uwięziono. Teraz właśnie pisze do mnie matka, że policya wpadła na trop istotnego mordercy i że wnet spadnie hańba z nazwiska mego przyjaciela.

— W jakiż sposób mogły się były władze dopuścić takiej pomyłki, że uwięziły niewinnego człowieka? — zapytała Freudenbergowa.

— Przyjaciel mój zdjął w przedpokoju płaszcz, w którym zostawił sztylet. Ow sztylet nosił przy sobie raczej jako pamiątkę, niż jako broń. Wychodząc potem, gdy płaszcz na siebie wdziewał, nie dostrzegł, że sztyletu w nim nie było; zobaczył to w domu dopiero i był pewien, że po drodze tę pamiątkę zgubił. Natychmiast po wyjściu mego przyjaciela z domu ofiary, zbrodnia spełnioną została, a ów sztylet znaleziono tkwiący w piersi zamordowanej osoby. Komisya sądowa oparła obwinienie na tem corpus delicti i uwięziła mego przyjaciela. Jasne było, że sprawca był zaczajony i wyjął ów sztylet z płaszcza, a skoro tylko przyjaciel mój wyszedł, on wpadł do pokoju swej ofiary, zamordował ją i sztylet umyślnie zostawił. aby skierować podejrzenie na kogo innego. Należało rozwinąć śledztwo objektywnie, a nie upierać się przy powziętej fałszywie kombinacyi.

— Owa komisya składała się zapewne z ludzi bardzo płytkich — rzekł Freudenberg. Prawnikiem nie jestem, ale prosty rozum wskazuje, że podstawą posądzenia musi być znajomość charakteru ludzkiego, a nie jakiś martwy corpus delicti. A to biedny człowiek! Ile to bywa takich strasznych omyłek sądowych! Pamiętam i ja podobną sprawę z moich młodych lat i to mnie nauczyło, abym nie rzucał nigdy kamieniem potępienia bez dowodów, abym nie był skory do podejrzeń.

— Widać, że bardzo kochasz swego przyjaciela, skoro cię owa wiadomość tak bardzo uszczęśliwia, wtrąciła Freudenbergowa, spoglądając na Ryszarda domyślnym wzrokiem kobiecym.

— Kocham jego, ale bardziej cześć jego nazwiska i spokój tych, którzy go otaczają miłością, odpowiedział Ryszard.

— Jak się nazywa ten przyjaciel? — spytała Freudenbergowa.

Ryszard zapłonił się, zmięszał i rzekł:

— Czy państwo wierzycie wraz ze mną w jego uczciwość?

— Wierzymy najzupełniej, jak w poczciwość twoją. Gdyby na ciebie wydano dziesięć takich wyroków, nazwalibyśmy je zbrodniczą omyłką lub podłem oszczerstwem — mówiła Freudenbergowa znacząco — i dodała z naciskiem:

— Wierzymy też wraz z tobą, w niewinność twego przyjaciela. Czy tak mężu?

— Ależ tak, tak. Gdy Ryszard powie, to rzecz święta.

— A więc czy chcesz nam powiedzieć nazwisko? — spytała ponownie Freudenbergowa.

— Baron Adlersfeld — odpowiedział Ryszard głosem drżącym i spuścił oczy.

Freudenbergowie spozierali na siebie zdumieni.

— Adlersfeld! — zawołał Freudenberg.

— Tak — dodał Ryszard z rezygnacyą.

— Na imię mu Ryszard — szepnęła Freudenbergowa.

— Ryszard! — odpowiedział jak stłumione echo.

Nastąpiła chwila milczenia. Ryszard wreszcie podniósł głowę i odzyskawszy męską energię, zapytał:

— Czy wierzycie w uczciwość moją? czy wierzycie, żem nie dopuścił się zbrodni?

— Chodźno tu, niech cię uściskam, jako krewniaka — rzekł Freudenberg. Jeszcześ mi teraz droższy, bo ja to wiem, że tam były jakieś rodzinne krzywdy, które też wynagrodzić trzeba, a tyś teraz jedyny z Adlersfeldów. No — chłopcze, nie smuć się — do góry głowa.

— Bóg sprawiedliwy pomoże wykryć zbrodniarza — rzekła Freudenbergowa, a tymczasem nie czynię ci wyrzutu, żeś się nie odsłonił przed nami. Rozumiem i oceniam powody i skrupuły.

O tem wyznaniu zachowano tajemnicę nawet przed Hansem, aby się ta sprawa nie rozgłosiła przed schwytaniem istotnego mordercy.

* * * C. d. n.



Fot. E. Brodkowski. Lwów.
Dom im. Tadeusza Kościuszki: Młodzież w sali jadalnej podczas obiadu w obecności zarządzającego bursą profesora.

Dom im. Tadeusza Kościuszki.

Per aspera ad astra podąża młodzież nasza — wśród biedy i niedostatku, tocząc walkę o zaspokojenie potrzeb codziennych, nie mając nieraz do ust włożyć coś ciepłego, rwie się ta młodzież do walki, korzystać pragnie ze zdobyczy wiedzy, szuka wykształcenia, by potem siły swe i wiedzę swoją poświęcić krajowi i sprawie publicznej. Kto tej młodzieży spieszy nietylko z radą, bo... radców znajdzie ona zawsze poddostatkiem, ale z pomocą wydatną materyalną, kto część trosk przygniatających tę młodzież bierze na swe barki, a tem samem pozwala biednym uczniom więcej czasu poświęcić na czerpanie z krynicy wiedzy i nauki — ten spełnia prawdziwie obywatelski czyn i choć to poniekąd jest obowiązkiem jego, w dzisiejszych czasach samolubstwa i egoizmu, zdobywa sobie wielką wobec kraju i potomności zasługę.

Taką zasługę zapewniło sobie lwowskie Towarzystwo pomocy naukowej, zakładając w r. 1903 „Dom im. Tadeusza Kościuszki“.

Jaki cel ma ta instytucya? ofiarność gminy miasta Lwowa, centowe składki społeczeństwa i zapobiegliwość członków Towarzystwa, dozwoliły stworzyć bursę dla niezamożnych uczniów szkół średnich, a małej grupce ubogich studentów dały przytułek, dach nad głową, ciepłą strawę i swobodne od trosk chwile na naukę.

Skromne fundusze, jakiemi Towarzystwo rozporządza, niepozwalają wprawdzie bezpłatnie korzystać uczniom z dobrodziejstw „Domu im. Tadeusza Kościuszki“, ale za skromną nader opłatą, która zwykle jeszcze ulega znacznemu zniżeniu, może tu uboga młodzież znaleźć przytułek i pomoc w naukach.

Ale nietylko na tym punkcie „Dom imienia Tadeusza Kościuszki“ spieszy młodzieży z pomocą. Młodzież szkół średnich, a przytem drobna dziatwa, uczęszczająca do szkół ludowych korzysta tu z rozdawnictwa obiadów, a cyfra 27.908 wydanych w ciągu zimowych miesięcy zeszłego roku posiłków południowych, najlepiej dowodzi, że kierownicy „Domu im. Tadeusza Kościuszki“ spełniają godnie swoje zadanie.

„Dom imienia Tadeusza Kościuszki“, to instytucya, która cieszy się we Lwowie jak największą sympatyą. Każdy z czem może z tem spieszy celem zwiększenia jego działalności i rozwoju. Nauczycielstwo z pracą, obywatele z pomocą finansową, a zdaje się, że chyba nikogo wzywać nie trzeba do popierania tak szlachetnej i zacnej instytucyi a przytem w tak niezbędnej w wielkiem mieście, gdzie młodzież z powodu ogólnej drożyzny musi walczyć o wiele z większą biedą niż na prowincyi.

Dwuletnia egzystencya „Domu im. Tadeusza Kościuszki“ i tak szybki rozwój tej instytucyi, dowodzą wymownie dwóch rzeczy, a przedewszystkiem, że był on niezbędny, a potem, że gdyby społeczeń-



Fot. E. Brodkowski. Lwów.
Dom im. Tadeusza Kościuszki: Dom im. Tadeusza Kościuszki przy ul. Dwernickiego we Lwowie.

stwo pamiętało tylko o nim przy wszystkich zabawach i zebraniach, gdyby chciało choć grosz wdowi nań ofiarować; korzyści, jakie tam młodzież zdobywa, mogłyby być podwójne i potrójne!..

Groźny pożar we Lwowie.

W ubiegłym tygodniu szalał we Lwowie groźny pożar, który trwał całą noc i dopiero na drugi dzień rano, dzięki nadludzkim niemal wysiłkom miejskiej straży pożarnej, został nareszcie ugaszony.

Pożar ten wybuchł w zabudowaniach dawnego browaru Kisielki, przy ulicy Kąpielnej, które dziś są własnością spółki akcyjnych browarów lwowskich.

Przy ulicy Kąpielnej, u stóp lwowskiego Zamku, niemal na samym stoku tej rozległej wyżyny, wznoszą się ogromne piwnice, których znaczną część stanowią lodownie spółki.

Lód ten przykryty jest zawsze grubą warstwą słomy, aby nie tajał. Zbrodnicza ręka, niewyśledzonego jeszcze sprawcy, który mimo ścisłego dozoru zdołał się tam zakraść całkiem niespostrzeżenie, podłożyła ogień pod tę słomę. Wkrótce ogromnym płomieniem buchnął ogień i całe jedno zabudowanie stanęło w ogniu.



Fot. E. Brodkowski. Lwów.

Groźny pożar we Lwowie: Zabudowania spółki browarów akcyjnych przy ul. Kąpielnej, gdzie wybuchł pożar w nocy z 27 na 28 z. m.



S. p. Stefania Porecka, artystka operetki lwowskiej, zmarła 31 z. m. we Lwowie.

Zanim spostrzeżono ogień, który ukryty za Wysokim Zamkiem nie prędko zdołała dostrzedz straż pożarna, upłynęła godzina. Pożar szerzył się szybko i zagrażał innym budynkom.

Groza położenia wzrastała z każdą chwilą. Nareszcie zauważono pożar i straż w pełnym galopie pospieszyła na ratunek. W pierwszym rzędzie wytężyli strażnicy wszystkie siły, aby zapobiedz dalszemu szerzeniu się ognia, co natrafiło na spore trudności, gdyż w czasie akcyi panował szalony wicher. Ostatecznie usiłowania ratujących zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem i dopiero wówczas można się było wziąć do gaszenia pożaru w jego głównem źródlisku.

Praca była ciężka, strażacy całą noc od godz. siódmej wieczorem, aż do godziny dziesiątej rano bez przerwy walczyli z rozhukanym żywiołem. Prócz tego niemałą trudność w akcyi sprawiał brak wody na miejscu, gdyż w tej okolicy dziwnym trafem brak jest wodociągowego hydrantu. Ale zabiegi straży nie pozostały bez skutku. Ogień ugaszono i zabrano się do likwidacyi strat, które przedstawiają się w poważnej cyfrze kilku tysięcy koron. Straty te wprawdzie pokryje asekuracya, gdyż zniszczony przez pożar budynek był ubezpieczony, ale niemniej spółka akcyjnych browarów znajduje się w kłopotliwem położeniu, bo straciła lód już wyrąbany i zwieziony, a prócz tego nie ma obecnie pomieszczenia na nowe zapasy lodu. W uzupełnieniu tej wiadomości podajemy zdjęcie fotograficzne zabudowań przy ulicy Kąpielnej i wnętrze zniszczonej przez ogień lodowni.

Ś. p. Stefania Porecka.

Teatr lwowski poniósł prawie w jednym czasie, dwie dotkliwe straty: śmierć zabrała znakomitego artystę Władysława Romana i równocześnie zmarła zdolna i sumienna artystka ś. p. Stefania Porecka.

Zmarła usunęła się na dwa lata przed śmiercią zupełnie od pracy scenicznej, gdyż choroba piersiowa, której w końcu uległa, nie pozwoliła jej pracować w uciążliwym zawodzie aktorskim. Ś. p. Stefania Porecka, aczkolwiek nie należała do pierwszych gwiazd, posiadała jednak miły głos, co przy wrodzonym jej wdzięku i przystojności, złożyło się na to, że w krótkim czasie stała się ulubienicą lwowskiej publiczności. Ś. p. Porecka grywała swojego czasu często i dużo. Dyrekcya powierzała jej nawet wielkie i odpowiedzialne role, jak n. p. „Pięknej Heleny", która też była jedną z najlepszych kreacyj przedwcześnie zmarłej artystki.

Ś. p. Stefania Porecka liczyła lat 21. Pozostawia po sobie żal rodziny i kolegów w zawodzie, jako dobra, zacna i uczynna koleżanka.

Dodajemy do tego, że nieboszczka posiadała zalety towarzyskie. Zawsze mile widziana i przyjmowana w najlepszych sferach, roztaczała nietylko na scenie, ale i w salonach urok i wdzięk spotęgowany niepoślednią intelligencyą i dowcipem.

To też wiadomość o śmierci lubianej kobiety i artystki poruszyła żywo szerokie koła Lwowa. Dowodzą tego liczne depesze kondolencyjne i niezliczone prześliczne wieńce, które pokryły doszczętnie katafalk biednej ofiary swego zawodu.

Wśród pośmiertnych tych dowodów ludzkiej pamięci, nie brakło podarków kwiatowych od kolegów, dyrekcyi teatrów, znajomych, przyjaciół i wielbicieli niepospolitego talentu artystki.



Fot. E. Brodkowski. Lwów.

Groźny pożar we Lwowie: Wnętrze zniszczonej przez ogień lodowni Spółki browarów akcyjnych.

Ze świata



Wobec groźnych scen, rozgrywających się w Warszawie i innych miastach Królestwa Polskiego, wobec hiobowych wieści, które niemal co rano i wieczór przynoszą nam dzienniki, listy i telegramy, rzemiosło kronikarza młócącego słomę miejscowych powszednich zdarzeń i stosunków, staje się straszną torturą. Serce przygniecione zmorą krwawych, zakordonowych wypadków, nie odczuwa wrażeń najbliższego otoczenia, nie jest w stanie wysnuwać z niego wątku pospolitej gawędy tygodniowej. Myśl — jak ptak zraniony, który bezwiednie powraca tam, gdzie go zabójcza strzała dosięgła — odlatuje nieustannie w strony, kędy bratnie tłumy bezbronnego ludu wystawiały piersi na kule i ostre razy rozbestwionego, pijanego żołdactwa moskiewskiego. Przytrzymywanie jej wysiłkiem woli na miejscu, sprawia mękę nieznośną, a jednak zmusić ją trzeba, by spoczęła na sprawach i faktach lokalnych, bo chociaż w tak niezwykłej jak obecnie chwili wydają się one małymi i marnymi, stanowią jednak ogniwa w łańcuchu duchowego życia narodu, od których uwagi odwracać nie sposób. W danym, właściwym momencie koniecznie o nich mówić należy. „Czas traci, czas płaci“ — twierdzi mądrość zbiorowa w samem przysłowiu. Gdyby jutro roztrzygnięte zostały bez naszego współudziału w dyskusyi i przemieniły się w kamień obrazy lub w szkodę publiczną, musielibyśmy sobie wyrzucać, że nie pokonaliśmy gwałtem bólu i troski, aby wypowiedzieć zdanie, mogące zaważyć na szali postanowień. Przewidując nawet z góry, że jej nie przechylimy w stronę słuszności i prawdy, wygłosić je przecież jesteśmy obowiązani, choćby dla uspokojenia własnego sumienia... Jedną zaś z takich spraw właśnie, pomimo pozornej drobności, uważaną jednak powszechnie za pierwszorzędną i na dobie, jest wybór nowego dyrektora teatru na przyszłe sześciolecie — jej więc dziś poświęcamy lwią część naszej kroniki.

Prezydent starego podwawelskiego grodu, dr. Juliusz Leo, w myśl uchwały rady miejskiej, wezwał kandydatów ubiegających się o dzierżawę teatru krakowskiego, by osobiście, lub na piśmie zwracali się do niego w celu porozumienia się o warunki, na jakich objąćby chcieli przedsiębiorstwo. O ile wiemy ma ich być kilku. Jednym, jedynym, którego inteligentny ogół pragnie (powiadamy to bez ogródek), jest tylko Tadeusz Pawlikowski. On tylko, jak wszystkim wiadomo, mógłby dawny blask instytucyi przywrócić i wznieść ją na poziom artystyczny, na jakim stała w czasie jego dyrekcyi; on jeden rozporządza moralnymi i materyalnymi środkami i warunkami, których od naczelnego kierownika teatru krakowskiego wymagać należy... Pomimo to jednakże, mówią ludzie, że nie chce postawić swej kandydatury, chociaż... chociaż, zgodziłby się może objąć dyrekcyę, gdyby reprezentacya gminy na jednem ze swych publicznych posiedzeń oświadczyła się za nim wyraźnie i szczerze—nie obwijając życzeń swych w dyplomatyczną bawełnę. Dzięki wyjątkowym stosunkom, jakie u nas panują, uchwałę podobną powitanoby w najszerszych kołach miejskich i krajowych — w pośród tych, którzy zasiadają w lożach, jak między tymi, których widujemy na parterze i galeryi, najżyczliwszym grzmiącym oklaskiem.

Czy w gronie innych kandydatów, są tacy, którzy bez „ale“ mogliby uczynić zadość swym wymaganiom? Równie otwarcie jak wyżej, odpowiemy: w ogólności, nie. Tu jednak baczyć trzeba na odcienia i gradacye, może subtelne, lecz na które rada miejska zechce prawdopodobnie zwrócić uwagę. Przedewszystkiem — wyłączoną być z wyboru powinna dyrekcya obecna, która w ciągu upływających lat sześciu dowiodła sromotnie, że jest nieudolną, doprowadziła bowiem scenę naszą do zupełnego upadku. Z kolei idzie p. Ludwik Solski, doskonały artysta i zdolny reżyser, lecz... wymiemione przymioty, jakkolwiek bardzo znaczące i cenne, nie wystarczają u nas na naczelnego kierownika teatru. Ani on, ani grono jego przyjaciół, doradzających mu zajęcie cierniami usłanego trawnika, nie zdają sobie sprawy z zawodów i rozczarowań, jakie go na nim czekają. W walce z przeszkodami wewnętrznemi i zewnętrznemi, już teraz na niego czychającemi, talent jego, lubujący się w częstych popisach, wyjdzie osłabiony, jeśli nie starty zupełnie — zwłaszcza, gdy się przekona, że obecnie w środowisku, jakiem jest Kraków, do wprawiania w ruch prawidłowy (tak w teatrze, jak poza teatrem), całej instytucyjnej maszyny — niezmiernie wrażliwej na nagłe i niespodziane fluktuacye opinii, na splendor etyczny, majątek, oraz indywidualne i towarzyskie dostojeństwo kierownika — potrzeba stanowczo, prócz tych, jakie posiada, jeszcze innych kwalifikacyj, których zdobycie lub nabycie leży poza sferą jego danych, woli i wpływów. — Trzecim głośno wymienianym kandydatem jest p. Edmund Rygier. W naszem mniemaniu szanse jego wydają się o wiele pomyślniejsze od szans innych współzawodników. Tak krytycy dziennikarscy, jak publiczność — zwłaszcza mieszczańska — usposobiona jest dla niego życzliwie; w starym znajomym widzi siłę, może nie błyszczącą, ale realną. Cieszy się on w Krakowie opinią człowieka „solidnego“, uczciwego, wytrwałego i inteligentnego. Zasłużył w rzeczy samej na szacunek, prowadząc przez lat kilkanaście teatr polski w Poznaniu, możliwie najlepiej. Przychodzi nie obarczony długami; przynosi do przedsiębiorstwa znaczny kapitał własny, zdobyty pracą; wyróżnia się bystrym zmysłem administracyjnym i zdrowym rozsądkiem, pod wpływem którego kroczyć zamierza drogą pośrednią nie ulegając zbytecznie żadnemu skrajnemu kierunkowi, a jednając sobie wszystkie. Po Tadeuszu Pawlikowskim — powiedzmy znowu szczerze — jest nietylko kandydatem zasługującym na uwzględnienie i uznanie, lecz może nawet poniekąd pożądanym.

Na nim jednak lista ubiegających się o teatr krakowski nie kończy się jeszcze.

Pan Wilhelm Feldman, w ostatnim najnowszym zeszycie Krytyki zgłasza na własne ryzyko i w własnem imieniu — kandydaturę czwartą. „Po co szukać, albo udawać, że się szuka, pisze on z właściwym sobie fantazyjnym rozmachem — po co konkursowa komedya nie wesoła i licytacya mało budująca. Wszak Kraków ma w swoich murach artystę, który na kierownika wielkiej sceny jest stworzony, który scenę krakowską jednym rzutem potrafi dźwignąć na wyżyny, przez najśmielsze tylko umysły wymarzone. Mowa oczywiście o Stanisławie Wyspiańskim“. Jakże słusznie wołał niegdyś Wenecyanin, gnijący w wilgotnych lochach pałacu dożów: „Boże, broń mnie od przyjaciół.“ Nigdy może tak zwana „niedźwiedzia przysługa“ nie była dla nikogo równie dotkliwym ciosem, jak nieoczekiwany zamach p. Feldmana na spokój i twórczość malarza i poety, któremu nie śniło się pretendować o kolcami nabite krzesełko dyrektora na proscenium. Oderwać go, wbrew upodobaniom i wrodzonym usposobieniom, od miłych zajęć, aby rzucić w rozdrażniający nerwy chaos życia teatralnego, jego zakulisowych intryg, skandalicznych zawikłań i gorączkowej pracy... ależ to byłaby zbrodnia, prawdziwa zbrodnia! Nikt dlań sroższej katuszy nie mógłby wymyślić! A cóż począłby z elementarną techniką zadania? Przecież, jak każdej w innych zakresach sztuki, nauczyć się jej potrzeba, udoskonalić doświadczeniem! Intuicya, nawet najgenialniejsza dać jej nie może. Co innego czuwać kiedy niekiedy nad wystawieniem własnego dramatu lub poematu, namalować do niego dekoracye i wzory kostyumów, a co innego stale, mozolnie i cierpliwie scenizować dzieła obce o rozmaitych charakterach i stylach. Autor „Bolesława Śmiałego“ nawet na próbach swoich utworów przekonał się niezawodnie nieraz, jak trudno akcyi, uczuciom, namiętnościom, symbolom i słowom, nakreślonym w ciszy pracowni, w chwili twórczego podniecenia, nadać odpowiedni ton i plastykę sceniczną, tę plastykę uchronić od karykaturalności i wprost sprzecznego z zamierzonym efektu. A dławiąca polot poetyczny atmosfera stosunków pozateatralnych, chociaż z teatrem ściśle złączonych, owe pertraktacye, kompromisy i układy z radą miejską, cenzurą, władzami administracyjnemi, komisyą artystyczną i prasą? Wszakże do tego wszystkiego potrzeba także mieć pewne doświadczenie i rutynę.

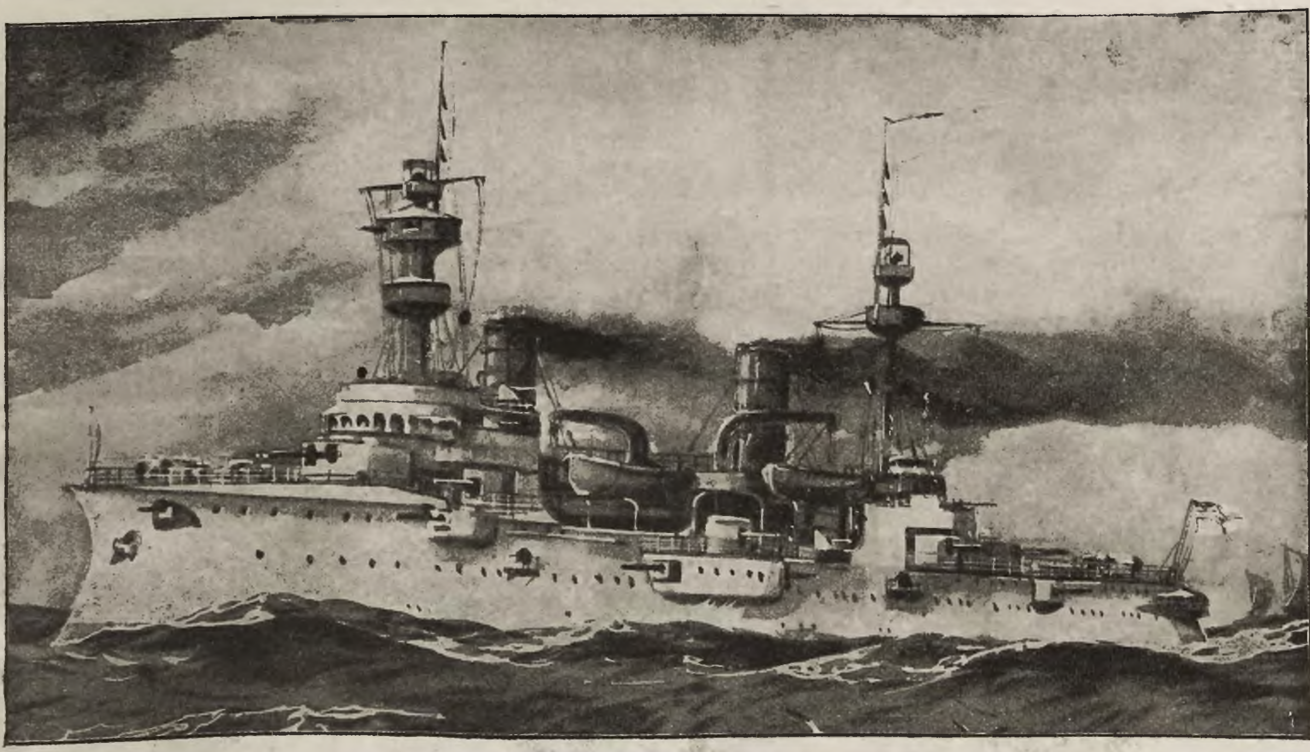
Nad całym ogromem przykrej i żmudnej działalności dyrektorskiej p. Wilhelm Feldman nie zastanawiał się widocznie, ogłaszając swój impresyjny artykuł, bo p. Wilhelm Feldman jest człowiekiem krewkim, o ognistym temperamencie. Gdy jaką sprawę poślubi i uzna za swoją, broni jej z płomiennym zapałem, co zresztą mu się chwali bo w czasach dzisiejszych zapał, choćby udany, jest rzeczą rzadką. Ale on z jednaką gorączką hołdował różnym, o różnych ceehach i kierunkach. Był kosmopolitą i pozytywistą namiętnym, metafizykiem i naturalistą nie mniej zagorzałym; jako autor nowel i powiastek z życia (pisywanych niegdyś z niezaprzeczonym talentem pod wpływem bezpośredniej obserwacyi) tworzył według formuł dokumentalnego naturalizmu; jako dramaturg bez talentu i zmysłu scenicznego biegł z początku śladami Bałuckiego, następnie deptał z wysiłkiem drogi, które Przybyszewski wytyczył, jako recenzent zaprawiał się w metodzie bezgranicznych zachwytów, wynosząc pod niebiosa „Naftę“, jedną z najsłabszych powieści Sewera, a przygotowawszy się tym sposobem do zawodu krytyka i historyka krytyki, zaciągnął się do szeregów szkoły symbolicznej i jako bardzo świeży wyznawca jej zasad, sprzecznych z jego przekonaniami społeczno politycznemi, pieje obecnie na cześć symbolu hymny pochwalne. Z różnych wiar, w przeróżne bogi Parnasu, każda pozostawiła w jego umyśle mały korzonek, uparcie trzymający się mózgu; każdy zaś z owych korzonków, chociaż skazany na zatracenie, puszcza kiedy niekiedy, kły i gałązki, które — jak bluszcze w lesie oplatające gęsto rosnące wrzosy – plączą się w chaotyczne kłębki barwnych i błyskotliwych frazesów, często bezmyślnych i kreślonych polskimi wyrazami, chociaż nie polskim językiem. Reklamując bardzo zręcznie i wytrwale siebie samego przedewszystkiem, wielbi Stanisława Wyspiańskiego, co mu się także chwali; chciałby go widzieć wszędzie i zawsze na pierwszem miejscu — więc i kierownictwo teatru pragnie mu powierzyć, nie rozumiejąc, że tym sposobem właśnie, nie przynosząc ani sobie, ani społeczeństwu korzyści, wyrządziłby poecie i malarzowi straszną krzywdę, mogącą zdruzgotać siły moralne i fizyczne artysty.

Nie krępowani żadnymi osobistymi względami, ani jakimkolwiek bądź afektem koleżeńskim, ani uprzedzeniem i niechęcią, mając jedynie dobro instytucyi na celu, wypowiedzieliśmy szczerze i otwarcie mniemanie nasze o kandydatach na dyrektorów teatru, sądzimy bowiem, że w chwili, poprzedzającej wybór jednego z pośród nich, w tych dniach dokonać się mający, należy mówić prawdę... tylko prawdę, choćby ta mogła nie podobać się więcej lub mniej interesowanym osobom, towarzystwom wzajemnej admiracyi i klikom.

Od przedmiotu, który z powodu swej momentalnej aktualności wymagał obszerniejszego omówienia, przechodzimy do innego, wielce również oddawna aktualnego, niezmiernie ważnego dla naszego miasta, z dziwnym zaś uporem przez rząd lekceważonego. Wyższa szkoła przemysłowa w Krakowie — jedna na Galicyę zachodnią, a rodzajem i planem wykładów może poniekąd i na kraj cały — mieścić się musi w starym, szczupłym, niewygodnym budynku, nie odpowiadającym zakresowi jej potrzeb i wymagań. O należytym rozwoju naukowego zakładu w gmachu obecnym marzyć nie można. Sprawa, od lat wielu zaniedbywana, domaga się koniecznie rychłego roztrzygnięcia. To też życzliwie powitać należy podjęcie jej na nowo przez prezydenta dra Juliusza Leo, który w ubiegłym tygodniu zwołał konferencyę, złożoną z profesorów powyższej szkoły i kilku radców miejskich, w celu zainicyowania energicznych kroków, skłonić mających rząd do najrychlejszego rozpoczęcia budowy, niecierpliwie przez ogół nasz oczekiwanej. Przypuszczać wypada, że głos poważnego grona, oddziała tym razem w Wiedniu skutecznie i doprowadzi do pożądanego rezultatu. Byłby to w rzeczy samej fakt pocieszający na smutne czasy bezcelowych manifestacyj, siejących rozterki społeczne, z których chyba tylko „król pruski“ skorzysta. Gdyby decyzya ministeryalna zapowiedziała budowę gmachu już na tegoroczną wiosnę karnawałujący ochoczo Kraków miałby prawo bawić się dalej z czystem sercem, ciesząc się radością i zyskiem, jaki z postanowienia odniosłaby ucząca się młodzież, przedsiębiorcy budowlani i robotnicy, dla których otworzyłby się nowy, a tak konieczny warsztat zarobkowania. Tymczasem gród nasz i filia jego Zakopane bawią się jakby „na zaliczkę“, ale coraz żwawiej, coraz zawrotniej. Rogi ulic pokrywają się codziennie sążnistymi afiszami, zapowiadającymi nowe pikniki i bale, w pośród których prawdopodobnie prym trzymać będą: rabczański, kupiecki i artystyczny. *All right!*

Verax.





Z wojny ros.-jap.: Olbrzymi pancernik „Borodino“, wchodzący w skład eskadry bałtyckiej.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Wśród społeczeństwa rosyjskiego coraz głośniejszym staje się protest przeciw wojnie. Dusza ludzka wzdryga się z przerażenia na myśl o tych krwawych rzeziach i mordach na dalekim Wschodzie i to tem bardziej, że wszyscy choć trochę myślący, zrozumieli całą bezcelowość tej wojny. Inteligencya, mieszczaństwo, lud buntuje się, żądając swobód politycznych i uważa obecną chwilę za najodpowiedniejszą do wystąpienia ze swemi żądaniami. Jeśli ma się tracić życie, w obronie zagrożonej zwycięstwami Japonii powagi mocarstwowej Rosyi — to lepiej umrzeć, walcząc o wolność i przeciw autokratycznym ciemięzcom.

Prowadzenie wojny w takich warunkach jest nadzwyczaj trudnem. Rząd, wysyłając coraz to nowe pułki na plac boju, ma niezliczone trudności do pokonania, by zmobilizować opornych rezerwistów — a wiecznie jest nadto w tej okropnej obawie, że z takim mozołem zmobilizowane pułki, mogą po otrzymaniu broni wypowiedzieć posłuszeństwo. A fakta takie miały miejsce i doszły do naszej wiadomości mimo, że cenzura ściśle przestrzega wydostawania się poza granicę Rosyi podobnych wieści, które świadczą wymownie o dezorganizacyi wewnętrznej życia państwowego.

Obecnie po upadku Portu Artura wszyscy śledzą bacznie ruchy wojsk pod Mukdenem i zastanawiają się nad losami eskadry bałtyckiej.

Jak już pisaliśmy, Japonia, zostawszy panem na morzu i odepchnąwszy Rosyę od brzegów Oceanu Spokojnego, chce dzieła swego dokonać całkowicie i raz na zawsze Rosyę w jej zaborczych dążeniach powstrzymać.

I oto ogłoszono przed tygodniem blokadę Władywostoku, a Japonia gotuje się do zajęcia tego jedynego jeszcze w rękach Rosyi zostającego portu i do pozbawienia Rosyi jakiegokolwiek nad Oceanem Spokojnym punktu oparcia. To, cośmy w poprzednim numerze pisali o zamierzanem podbiciu i zajęciu Kamczatki i Sachalinu przez Japonię, jest teraz z ogłoszeniem blokady Władywostoku tem prawdopodobniejsze, gdyż operacye wojenne przesuwają się z południa coraz dalej ku północy. Japonia nie przestaje mimo szalonych kosztów, jakie ponosi na samo prowadzenie wojny, zbroić się i ku zdziwieniu bądź co bądź niemiłemu Rosyi wystawiła nową flotyllę łodzi podmorskich i zapowiedziała wystawienie nowej eskadry, która ma za zadanie jakieś „specyalne cele“, które przed okiem ciekawych ukrywa... przynajmniej na razie. To zbrojenie się Japonii wywołało nawet już pogłoskę, że i Rosya w ślad za drugą eskadrą bałtycką wyśle trzecią. Ma się rozumieć, że wszystkie te wersye mają swe źródło w czczej reklamie, za którą nie mogą iść czyny.

Prasa rosyjska sama wątpi o tem, czy Rosya odzyska utraconą obecnie potęgę na morzu. Wszyscy śledzą obecnie bacznie losy eskadry bałtyckiej, wysłanej jeszcze w listopadzie roku przeszłego, kiedy nie spodziewano się tak szybkiego upadku Portu Artura.

W owym czasie kwestyonowali dzielniejsi i rozumniejsi oficerowie potrzebę wysłania tej eskadry, która, odniósłszy jedno zwycięstwo nad rybakami z Hull, nie dojedzie prawdopodobnie do wód Oceanu Spokojnego, a zadowoli się przedefilowaniem w drodze powrotnej przed portami europejskimi. Ale o ile postawienie tak szczęśliwego horoskopu uśmiechałoby się marynarzom i oficerom eskadry bałtyckiej — to należy wątpić, czy Togo lub Kamimura byłby z takiego obrotu rzeczy zadowolonym. Obecnie po zniszczeniu floty portarturskiej eskadra japońska skazaną byłaby na bezczynność, a należy się spodziewać po tych dzielnych marynarzach, którzy z całą gotowością szli na pewną śmierć zatapiając brandery pod Portem Artura, że nie zechcą odpoczywać, dopóki ich ojczyzna nie ma spokoju od nadchodzącego ją wroga, póki wróg jest tak silnym, że odważa się na akcyę zaczepną.

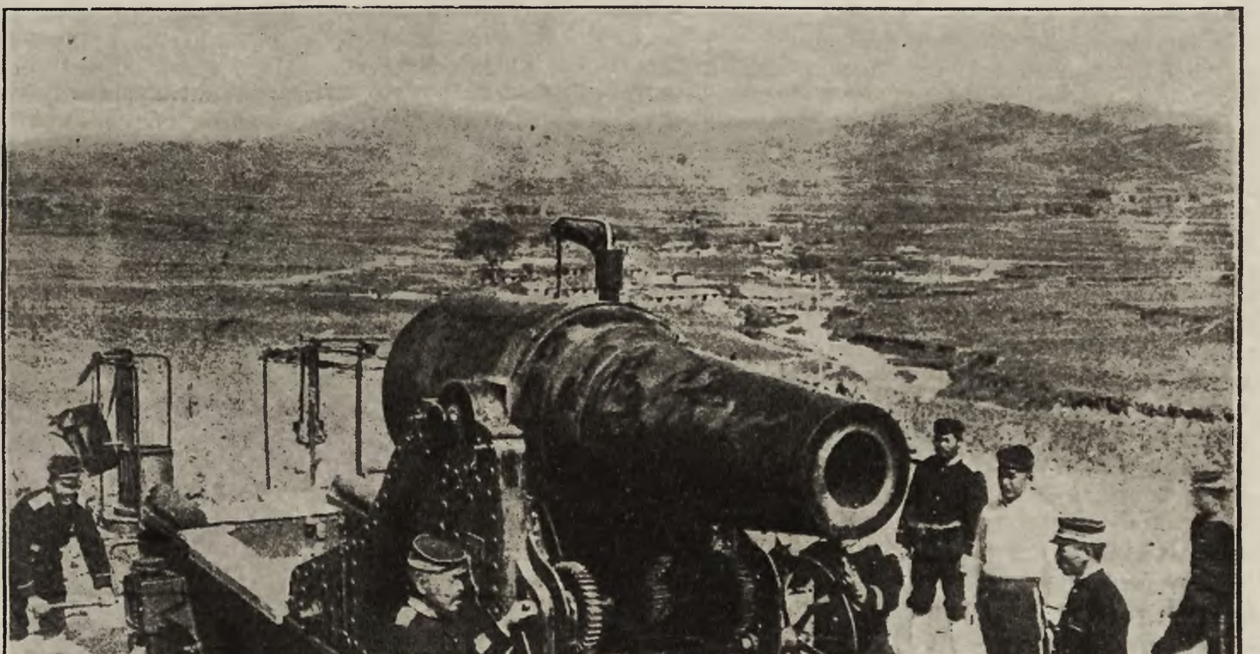
Telegramy doniosły, że krążowniki japońskie widziano już na Wodach Indyjskich w pobliżu wyspy Borneo. Trudno mówić o jakiejś znaczniejszej eskadrze, któraby wyruszyła aż tak daleko na spotkanie nieprzyjaciela. Pewną zaś jest rzeczą, że Japończycy spotkają Rożdżestwieńskiego i przywitają należycie, o ile tylko odważy się wjechać na Ocean Spokojny.

Ale tymczasem Rożdżestwieński nie wie, co ma robić. Z Libawy ma zostać wysłaną druga eskadra, na którą ma czekać, by połączywszy się z nią w zmocnionej sile popłynąć na Wschód. Nie przypuszczając już nawet prawdopodobieństwa wysłania drugiej eskadry i dopłynięcia Rożdżestwieńskiego na Wody Wschodnie — nie można sobie wyobrazić, gdzie pierwsza eskadra bałtycka będzie czekała na to połączenie się z eskadrą drugą.

O ile chwilowy pobyt w celu zaopatrzenia się w węgiel i środki żywności jest w portach obcych możliwym — to żadne państwo nie zgodzi się na dłuższy pobyt okrętów rosyjskich w jego portach, gdyż złamanie neutralności, pociąga za sobą liczne i to przykre następstwa. Eskadra bałtycka Rożdżestwieńskiego musi opuścić Madagaskar i będzie musiała płynąć ku Wschodowi lub z powrotem. A może zamiast na spotkanie Japończyków popłynie na spotkanie tej spodziewanej drugiej eskadry — a to równałoby się powrotowi do domu.

Pisma podają następujące informacye co do kosztów, jakie pociąga za sobą przejazd floty bałtyckiej. Węgle, mapy, miny i inne zapasy kosztowały jednorazowo podczas wyruszenia eskadry co najmniej 15 milionów rubli. Olbrzymie wydatki za przepłynięcie kanału Sueskiego, oraz kupno w drodze węgla i zapasów żywności, również stanowią sumę niemałą. Według pism rosyjskich należy przypuszczalnie obliczać zużycie węgla przez eskadrę w ilości 17.000 ton w ciągu dni dwunastu. Eskadra jest w drodze już przeszło 90 dni i powinna była zużyć 130.000 ton węgli. Na przebycie reszty drogi do Władywostoku potrzeba będzie jeszcze co najmniej 86.000 ton, a trzeba i to wziąć pod uwagę, że w miarę zbliżania się do wód nieprzyjacielskich, węgiel zużywany będzie w większych ilościach. Można zatem obliczyć ogólny wydatek węgla na 250.000 ton, co wraz z kosztami frachtów i ubezpieczeń wyniesie okrągło sumę 5 milonów rubli. Za przepłynięcie kanału Sueskiego zapłacono 300.000 rubli, pilotom wraz z opłatą ceł portowych i t. p. półtora miliona rubli, co wraz z 3 milionami, wydanymi na kupno okrętów transportowych, wyniesie ogółem 24 miliony rubli. Jest to wydatek tak znaczny, że musiał on porządnie zaciężyć na budżecie rosyjskim, łatanym pożyczkami francuskiemi i niemieckiemi, a o ileby eskadra Rożdżestwieńskiego celu swego nie osiągnęła, t. j. z jakichkolwiek powodów do Władywostoku nie dojechała lub z drogi zawróciła, pieniądze na przejazd wyłożone będą stracone bezpowrotnie!

A dodawszy do tych kosztów straty, jakie pociągnęłaby za sobą ewentualna klęska Rosyi na



Z wojny ros.-jap.: Oblężnicze działo japońskie wielkiego kalibru, używane przy bombardowaniu Portu Artura.



Z wojny ros.-jap.: Wymarsz żołnierzy rosyjskich

morzu i zatopienie okrętów, to otrzymalibyśmy prawdziwie kroci owe sumy, które mogłyby zrujnować finansowo Rosyę.

O kosztach jednego choćby pancernika może dać wyobrażenie zamieszczona w tym numerze podobizna pancernika rosyjskiego „Borodino", wchodzącego w skład eskadry bałtyckiej, i będącego prawdziwym kolosem, na którego zbudowanie wydano miliony.

Smutne są losy Rosyi w tej wojnie od samego początku. Szereg strasznych klęsk na lądzie, połączonych z tysiącznemi ofiarami w ludziach, zniszczenie floty portarturskiej przez Japończyków — przyczyniło się do zupełnego zdyskredytowania powagi i potęgi militarnej państwa carów. A przyszłe wypadki także nie układają się pomyślniej.

Że ciężkiemi są chwile obecne dla Rosyi, świadczy o tem i „dzienny rozkaz" cara Mikołaja, przesłany do wojska w Mandżuryi i do floty rosyjskiej, w którym zaznacza, że walka z wrogiem tak silnym, jak Japonia, jest nadzwyczaj trudną! „Nasz wróg — mówi ukaz carski — jest śmiały i silny, a walka z nim jest nadzwyczaj ciężką, w odległości 10 tysięcy wiorst od źródeł naszej siły. Ale — pociesza żołnierzy Mikołaj — Rosya jest pełną siły i wiary. I chociaż nasze dotychczasowe klęski są ciężkie — wkrótce nadejdzie godzina zwycięstwa, o które Boga proszę".

Czy jednak żołnierze są tak naiwnymi, by spodziewali się jeszcze zwycięstwa — wątpimy, i o ile można wnosić z nadchodzących telegramów, myśl o zwycięstwie zaczyna ulatywać nawet z głów „naczalstwa".

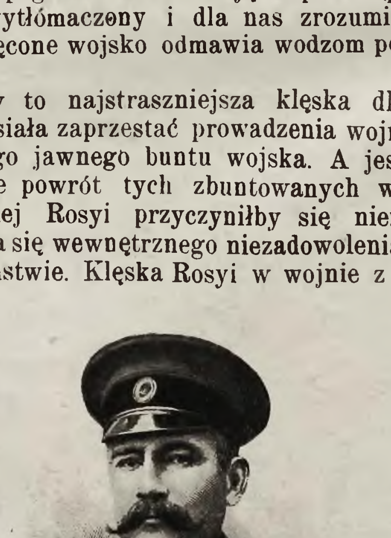
Petersburska agencya telegraficzna doniosła 28 stycznia, że Kuropatkin prowadzi pokojowe rokowania z Oyamą.

Cenzura pozwoliła na umieszczenie tego telegramu w gazetach petersburskich i jest rzeczą prawdopodobną, że telegram ten ma przygotować opinię publiczną na niezwykłe wydarzenia! — tak komentują i tłómaczą ten telegram dzienniki angielskie.

Zapewne Rosya jest teraz daleko bardziej skłonniejszą do podjęcia rokowań pokojowych, niż było dotąd — ale, o ileby te rokowania miały prawdziwie miejsce, to w każdym razie zaprzestanoby walki, a telegramy z ostatnich dni przyniosły właśnie wiadomości o rozpoczęciu akcyi zaczepnej na prawem skrzydle rosyjskiem. Dlatego właśnie trudno uwierzyć w tę wersyę, która wyszła z gazet angielskich, gdyż nie było dotychczas żadnych urzędowych wiadomości, ją potwierdzających.

Wieści o rychłem zakończeniu wojny obiegają jednak całą prasę europejską i wszystkie dzienniki w formie pogłoski stwierdzają zupełnie psychologicznie wytłómaczony i dla nas zrozumiały fakt, że zniechęcone wojsko odmawia wodzom posłuszeństwa.

Byłaby to najstraszniejsza klęska dla Rosyi, gdyby musiała zaprzestać prowadzenia wojny wskutek takiego jawnego buntu wojska. A jest rzeczą pewną, że powrót tych zbuntowanych wojsk do europejskiej Rosyi przyczyniłby się niemało do wzmożenia się wewnętrznego niezadowolenia i wrzenia w państwie. Klęska Rosyi w wojnie z Japonią, kryzys ekonomiczny, który po wojnie jeszcze bardziejby się wzmógł, prowadziłby dalej swą destrukcyjną rolę w państwie carów z szybkością o tyle zwiększoną, o ile i ciężary na pokrycie wydatków i kontrybucyi wojennej by się zwiększyły i w formie nowego ucisku spadły na barki mieszczaństwa, chłopów i robotników rosyjskich.



Z wojny ros.-jap.. Generał Pflug

Telegramy przyniosły groźną wiadomość, której następstwa mogą być dla Rosyi fatalne, że grozi wybuch strejku na linii kolejowej słatońskiej. Niewątpliwie odnosi się to do linii Samara-Złatoust, która tworzy jedyną arteryę, łączącą koleje rosyjskie z drogą sybirsko-mandżurską. Jeżeli istotnie doszłoby w Samarze do tego strejku, o którym mówi telegram, to groziłoby to odcięciem zupełnem armii Kuropatkina od Europy, a przedewszystkiem odcięciem dowozu wszelkich potrzeb do obozu Kuropatkina. Byłaby to straszna klęska Rosyi, któraby wstrząsnęła caratem potężniej, niż wszelkie dotychczasowe klęski i niepowodzenia tak morskie, jak i lądowe.

Obecnie po stosunkowo dość długiej przerwie i odpoczynku wojsk, rozpoczęła się walka nad rzeką Hun ponownie. Zagrały armaty i szeregi ruszyły przeciw sobie na rzeź.

Akcyę zaczepną wznowili Rosyanie. Ofenzywa nie obejmuje całej linii bojowej, lecz tylko skrzydło zachodnie czyli prawe. Jaki jest cel tej nowej akcyi zaczepnej — trudno obecnie przewidzieć, ale jest prawdopodobne, że chodzi Kuropatkinowi o wpadnięcie na tyły wojsk japońskich i może nawet o wzięcie szturmem utraconego Liaojangu.

Że akcya w tym kierunku nie ustaje, świadczy o tem nagromadzenie na prawem skrzydle rosyjskiem znacznych sił piechoty, artyleryi i konnicy. Ta ostatnia pod dowództwem generała Miszczenki usiłowała już niedawno przerwać połączenie kolejowe pod Liaojangiem — ale jej się to nie udało.

I teraz Kuropatkinowi się nie powiodło. Od 26 do 28 stycznia, t. j. przez dwa dni, trwał na prawem skrzydle rosyjskiem a na lewem japońskiem zażarty bój około miejscowości Sandepu.

Miejscowość ta położoną jest na drodze do Liaojangu, w oddaleniu mniej więcej 6 kilometrów od rzeki Hun a 26 w kierunku północno-zachodnim od Liaojangu. Sandepu było silnie ufortyfikowane i mimo znacznej przewagi atakujących wojsk rosyjskich, Japończycy zdołali się przy niem utrzymać i odeprzeć Moskali.

Pogłoska, jakoby Moskalom udało się zająć Sandepu, okazała się nieprawdziwą. Wprawdzie w pierwszym dniu walki zajęli oni tylną część wsi Sandepu, ale z ogłoszonego telegramu generała Grippenberga dowiadujemy się, że atak zupełnie się nie powiódł.

Telegram ten brzmi:

„Dnia 28 stycznia obsadziliśmy Santaitse i Labatay, nie mogliśmy jednak zdobyć Sandepu, ponieważ Japończycy otrzymali znaczne posiłki i przeszli do ofenzywy na całym froncie między Kaigutay a Sandepu. Walka trwała dwa dni. Wszystkie ataki japońskie zostały odparte dzięki bohaterstwu naszych wojsk, których zachowanie się było wyższe nad wszelkie pochwały. Generało-



ze zdobytego przez Japończyków Portu Artura.

wie Miszczenko i Kondratowicz zostali lekko ranieni".

Otóż tylko dzięki bohaterstwu wojsk wydostali się Moskale z biedy, w którą sami wleźli. Nawet generał Grippenberg nie miał w prowadzeniu ofenzywy ręki szczęśliwszej od Kuropatkina i innych wodzów. jak świadczy o tem wynik bitwy: klęska i 10.000 zabitych i rannych. Straty japońskie wynoszą 5000 zabitych i rannych, a więc zaledwo połowę strat rosyjskich.

Zaznaczyć nadto należy, że walka odbywała się przy szesnastostopniowym mrozie a zawierucha pędziła tumany śniegu w oczy wojskom japońskim, co, ma się rozumieć, ułatwiało ofenzywę Rosyanom. Mimo to wojsko japońskie jeszcze raz okryło się sławą i odparło wroga. Okazało się, że wbrew przypuszczeniom, Japończycy i w ostrym klimacie mandżurskim dzielnie się biją i że różnica klimatu nie osłabiła ich zapału i energii.

Odparci Rosyanie, prawdopodobnie cofną się dalej ku północy lub może popróbują jeszcze raz szczęścia i podejmą ofenzywę na całej linii, czego, zdaje się, żąda car i dwór petersburski. Wątpliwem jest jednak, czy im szczęście dopisze. Siły japońskie są takie, że w żadnym razie pobici oni zostać nie mogą — a ich sprawność, odwaga i szalone, świat zadziwiające męstwo, każe wierzyć w zwycięstwo po ich stronie.

Siły armii japońskiej pod dowództwem marszałka Oyamy. po przyłączeniu się do niej armii generała Noghi, wynoszą 330 tysięcy z 1100 działami. Do tej liczby nie zostało wliczone pospolite ruszenie, co do którego nie mamy bliższych danych.

Ponadto armia japońska zostanie powiększoną obecnie przez powołanie rekrutów już z następnego roku. Artylerya japońska, której wyższość nad rosyjską od dawna już stwierdzono, została obecnie i liczebnie wzmocnioną przez zdobycie w Porcie Artura około 300 dział. Te wszystkie względy usuwają obawę, że Rosya może zwyciężyć Japończyków. Przewaga artyleryjska Japonii jest tak znaczna, że ona sama zapewnia jej zwycięstwo.

Obecnie na plac boju nad rzekę Hun wysyłają Japończycy i armaty wielkiego kalibru, które były czynne pod Portem Artura i sprawiały ogromne spustoszenia. Jest to wzgląd ogromnej wagi i zaważy on na szali walk. Obok podajemy fotografię działa największego kalibru, jakim posługiwała się oblężnicza armia japońska pod Portem Artura.

Dla objaśnienia dodamy, że mimo olbrzymiego ciężaru działo takie może poruszać jeden człowiek i zwracać w dowolną stronę, gdyż umożliwia to nader skomplikowany mechanizm.

Mimo, że miesiąc upłynął już od upadku Portu Artura — wypadek ten tak głośnem echem odbił się w całym świecie, że prasa nie przestaje go omawiać.

Był to prawdziwy dramat, a raczej jeden i może nawet kulminacyjny akt tego dramatu, jakim jest wojna.



Z wojny ros.-jap.: Rosyjski minister wojny główny adjutant Wiktor Wiktorowicz Sacharow.

Z zamieszczonego w tym numerze obrazu, przedstawiającego wymarsz wojska rosyjskiego ze zdobytej twierdzy, uderza groza i ten ból upokorzenia, jaki musiały odczuwać opuszczające twierdzę wojska rosyjskie.

Wprawdzie żołnierze japońscy witają ich okrzykami: banzaj! wprawdzie salutują im i na znak zgody rękę podają — ale trudno tym rosyjskim żołnierzom iść z głową niespuszczoną ku ziemi, gdy naprzeciw siebie mają żołnierzy japońskich, którzy męstwem, gotowością do poświęcenia i szaleństwem, prześcignęli wszystkich i dali dowód, że umieją walczyć aż do upadłego.

* *

Ministerstwo wojny ma rozstrzygnąć obecnie ważną sprawę, mianowicie ma ono według przepisów wojskowych postawić Stoessla pod sąd wojenny, który ma orzec, czy generał nie popełnił zdrady sprawy narodowej przez kapitulacyę, czy wyzyskał wszystkie środki obrony i czy nie miał już żadnego innego wyjścia, jak tylko umrzeć lub poddać się.

O ile można wierzyć krążącym za granicą pogłoskom, to Stoessel, mimo powszechnej reklamy, nie zasłużył na imię bohatera i obrońcy Portu Artura.

Oficerowie stwierdzają, że duszą obrony był generał Kondratienko, który zginął parę dni przed kapitulacyą na jednym z fortów, wysadzonym przez Japończyków w powietrze.

Stoessel sam nie kierował faktycznie obroną i nie odznacza się żadnemi zdolnościami wyższemi. Względem swych żołnierzy był podobno brutalnym oficerem, przyzwyczajonym do wyładowywania na ich kościach swych złości. Żołnierze uskarżali się przed swymi oficerami, że generał Stoessel, zastawszy coś nie w zupełnym porządku, bił ich po twarzy, a nie rzadko się zdarzało, że przy takiem wymierzaniu sprawiedliwości wylatywały żołnierzom zęby.

Minister wojny Sacharow ma podobno w tej sprawie przeprowadzić surowe śledztwo i pociągnąć Stoessla do odpowiedzialności przed sądem wojennym.

Będzie to nadzwyczaj interesującą rzeczą dowiedzieć się o szczegółach tej zapowiadanej afery, o ile wogóle można się spodziewać, że Rosya ogłosiłaby szczegóły tak skandalicznego procesu.

To kwestyonowane już i dziś bohaterstwo Stoessla zniknęłoby wtedy zupełnie, a aureola otaczająca tego generała zmalałaby do zera. Na Rosyę skompromitowaną złodziejstwami czynowników i urzędników intendantury, skompromitowaną szeregami klęsk straszliwych, spada jeszcze jedna hańba! Ale cóż znaczy jeszcze jedna hańba w tem morzu hańb, w jakiem pogrążona dzisiejsza Rosya!?



Marya Przybyłko-Potocka.

Migawki teatralne.

Już upływa 4 lata, jak p. Przybyłko opuściła scenę krakowską. która była dla niej szkołą, a zarazem pierwszym terenem, na którym rozwinął się jej wielki talent. Było to jeszcze za czasów dyrekcyi Pawlikowskiego, która tak chlubnie zapisała się na kartach historyi teatru krakowskiego. Był to okres prawdziwego rozwoju naszej sceny. Wtedy pójście do teatru było rzeczywistą i prawdziwą biesiadą literacką.

P. Marya Przybyłko odrazu ujawniła swe zdolności w kierunku oddawania ról sentymentalno-naiwnych. Jej występy cieszyły się ogólnem powodzeniem i uznaniem publiczności i prasy. W swoim zakresie była nieprześcignioną, a trupie każdej, w której skład wchodziła, trudno było po jej wycofaniu się lukę wypełnić. Po opuszczeniu sceny krakowskiej, wyszedłszy za mąż za znanego ogólnie publicystę i literata A. K. Potockiego, przeniosła się na grunt warszawski, gdzie dotychczas przebywa występując w teatrze Rozmaitości.

Zaznaczyć wypada, że tak tam jak i tu, cieszy się sympatyą i uznaniem ogólnem.

Z licznych jej kreacyj można wiele wymienić jako jej role popisowe. W „Zaczarowanem kole“ Rydla widzieliśmy ją w świetnej roli sentymentalnej Wojewodzianki. rozkoszującej się opowiadaniami pastucha wiejskiego, a kiedy przyjeżdżała do nas przed dwoma laty na występy — jedną z pierwszych jej ról było odtworzenie Wojewodzianki. W „Romantycznych“ Rostanda, odegrała świetnie rolę Sylwetty. A brawurową swą grą i w płytkiej farsie „Dama od Maksyma“, zbierała laury i przyczyniła się do tego, że farsa ta prawie nie schodziła z repertuaru każdego tygodnia w naszym teatrze.

Zanotować należy, że i w rolach nie należących ściśle do jej repertuaru okazała umiejętność intuicyi i przeniesienia się w „milieu“ jej do pewnego stopnia obce. Inka w „Dla szczęścia“, Przybyszewskiego była jedną z tych niespodzianek miłych, bo ujawniła ona w tej roli, że talent jej jest dość szeroki i w fazie pełnego rozwoju.

Spodziewamy się, że i na scenie krakowskiej zobaczymy jeszcze p. Przybyłko w jej godnych uznania kreacyach. których przypominanie wzbudza jeno żal za minioną świetnością naszej sceny.

* * *

Skład lwowskiej trupy dramatycznej jest pod każdym względem doborowym. Lwów ma w osobie dyrektora Pawlikowskiego prawdziwego artystę, który dba tylko o sztukę, a w osobie p. Solskiego fachowego i uzdolnionego reżysera. I warunki lwowskie umożliwiają artyście dramatycznemu rozwój jego talentu i specyalizacyę, a na tem zyskuje i skład całej trupy.

P. Amalia Rotter zaczęła swą karyerę artystyczną od występów w teatrzykach warszawskich. Zakres jej ról nieujednostajniony — Lwów ujął w pewne ramy. Talent jej w rolach patetyczno-charakterystycznych jest wybitny i w tym zakresie pokazała wiele zdolności, zdobywając sobie powszechne uznanie. Podnieść należy, że oddaniem ról niektórych, intuicyą artystyczną dorównywała nieraz artystkom pierwszorzędnym. Mamy na myśli „Czerwoną togę“, w której to sztuce objęła rolę po Siemaszkowej i z trudnego zadania wywiązała się zaszczytnie.

Jako deklamatorka ceniona wysoko — jest atrakcyą na wszystkich wieczorach, w których bierze udział. Giętkość i łatwość modulacyi głosu, a przytem inne warunki zewnętrzne: okazała postawa i piękność rysów twarzy, uczyniły z niej popularną i nadzwyczajną sympatyą cieszącą się u wszystkich deklamatorkę.

W lwowskiej trupie stanowi p. Rotter jednę z poważniejszysh sił artystycznych, cieszącą się nie tylko uznaniem publiczności, ale i dyrekcyi teatru.

Z TYGODNIA

Gdy na Warszawę są zwrócone oczy
Całego świata jak wielki i długi,
Gdzie po ulicach świeża krew się broczy
W której się pławią niecne carskie sługi
Nasze zaś władze ku odrazie światu
Mają sympatyi wiele dla — caratu.

W obronie bowiem tej carskiej potęgi
Co u nas w Rynku zagrożoną była
Policya dzielnie rozdawała cięgi
O ile tylko starczyła jej siła,
A jak się często zdarza w takich hecach
Najniewinniejszy dobrze wziął po plecach.

O! bo lojalność zawsze tryumf święci
W prawomyślności każdy uzna racyę,
Uznać jej tylko nie chcieli studenci,
Co urządzili w wieczór demonstracyę,
Którą w noc późną zakończyli potem,
Rosyę z policyą obrzuciwszy błotem...

Sensacyę wielką miała prasa wszystka,
Z której korzysta — (Czemu nie dziwota),
Że pół-pijana jakaś szansonistka
Chciała się w nocy pozbawić żywota
Nie wielka szkoda! Gdy jedna ubędzie
Setki podobnych staną za nią w rzędzie.

Inne sensacye też nie mniejszej wagi,
Jako dziennikarz karyerę zaczynał
Rycerz przemysłu, złodziejstwa i blagi
Karyery finał: dla niego kryminał
Tam, gdzie ustają wszystkie życia troski,
Taką karyerę przebył pan Orłowski.

Postać bez kwestyi bardzo niepowszednia
Niby adwokat — niby zaś literat
Co grozę wzbudził wśród mieszkańców Wiednia
Poszedł do kozy na jakiś czas nierad.
Karyera iście bardzo niezwyczajna
Gnić cztery lata wśród murów Kufsteina.

Karota, szantaż w całej pełni idzie
Aby wymusić tylko lada centa,
Każdy zapomni o honorze, wstydzie,
Tylko o własnej korzyści pamięta,
A system taki (smutna prawda, szczera)
Nawet w teatrze dziś się rozpościera.

Lecz przecież może inne przyjdą czasy
Z zmianą teatrem kierujących osób
Znikną jedyne względy na stan kasy
I teatr w inny prowadzony sposób
Odzyska wreszcie reputacyę swoją,
Będzie świątynią sztuki i ostoją!



Amalia Poraj-Rotter.

Legenda o bajce ludowej.

I.

Kiedy wieczorne zorze pogasną
Przepływa postać łanami wioski:
Na białem czole ma gwiazdę jasną
A wiatr rozwiewa bujne jej włoski,
Róże i lilie w twarzy jej kwitną,
Ma zaś źrenicę wielką, błękitną.
W wiejskiej dziewczyny stroju uroczem
Zjawia się owo widmo na ziemi
I z rozpuszczonym na wiatr warkoczem
Idzie łanami rosą lśniącemi,
A za śladami drobnej jej nóżki
Rosną z zagonów polne kwiatuszki...
Chętnie zagląda do niskich chatek,
Zwłaszcza, gdzie dziatwy liczna gromada
I w usta nianiek i dobrych matek
Ciekawe bajki i piosnki wkłada —
Dzieci słuchają z buzią otwartą,
O, takich bajek posłuchać warto!
O dziecku, które w księżyca świetle
Zmarłą mateczkę widzi na grobie.
O czarownicy, która na mietle
Kominem w nocy wyjeżdża sobie —
Dziatwę ze zgrozy przechodzą dreszcze,
Lecz proszą: „Powiedz matusiu jeszcze!“

II.

Jest ulubione miejsce tej wróżki
Również, gdzie liczną gwarną drużyną
Zasiądą kołem prządki-dziewuszki
Przy kołowrotku szarą godziną.
Buchnie łuczywo, nić zaszeleści,
Najstarsza prządka mówi powieści:
Jak pod postacią złocistej rybki
Żyła zaklęta młoda królewna,
I o tym Janku, co to miał skrzypki
Z śpiewającego zrobione drewna.
Dziewczęta wtórzą bajkom kobiety:
„O rany Boskie!... Oj! rety! rety!“
Raz zabłądziła Bajka-Dziewica:
Wprost z chat wieśniaczych i od czeladzi
Aż do pałaców Jaśnie Dziedzica:
Lecz tam gościowi nie byli radzi,
Dla swojskiej Muzy przystęp nie łatwy,
Gdzie francuszczyzna na ustach dziatwy!
„Państwo“ się na to krzywi i sarka,
Gdy polska mowa w ucho zaleci,
Tam nawet ruda bona-Szwajcarka
W Żorże i Marie przechrzciła dzieci
I jak kazało jej powołanie,
Wygnała wróżkę — i starą nianię...

Konstanty Krumłowski.

Hektor Gandolfi.

Prawdziwy znawca stosunków muzycznych wie doskonale, że wybornych tenorów i harfistów poszukuje się na wagę złota — artyści ci bowiem należą do rzadkości. W mniejszej za to cenie są barytony, bo zwykłym głosem męskim jest właściwie baryton. Bas niski, sięgający w pełnem brzmieniu do niskiego e, d, a nawet c, jest taką samą rzadkością jak tenor. Najmilszem jednak zjawiskiem jest połączenie przyrodzonego głosu barytonowego z głosem basowym o pięknym, silnym dźwięku, a gdy naturalne te dary niebios wspiera także obok inteligencyi dobra szkoła i dobry sposób oddawania utworu, tak zwany Vorbray — słuchacz zdumiony staje wtedy wobec artysty z łaski Bożej.

Takim przedstawił się Hektor Gandolfi, który 1 listopada 1902 wystąpił po raz pierwszy na szerszą widownię w berlińskiej Singakademie, przedstawił się jako taki śpiewak z łaski Boskiej. Nikt nie znał jego imienia, to też krytyka i publiczność przyjęła artystę dość zimno. Lecz już po pierwszych kilku taktach, zaśpiewanych głosem wspaniałym, potężnie brzmiącym i wyszkolonym, zaiskrzyły się oczy słuchaczy, a pierwszą aryę przyjęli huraganem oklasków.

Karyera Gandolfiego była zapewniona. Odtąd jest artysta ten ulubieńcem publiczności, zapełniającej sale koncertowe stolic europejskich, i prawdziwym jej benjaminkiem.

Gandolfi pochodzi z Turynu (ur. 1863) i już jako chłopak dziesięcioletni okazywał wielkie uzdolnienie muzyczne i głosowe. Piękny wówczas sopran, obejmujący przeszło dwie oktawy, czynił go poszukiwanym śpiewakiem kościelnym.

Do konserwatoryum w Medyolanie wstąpił dopiero w 23 roku życia po ukończeniu uniwersyteckich studyów. Śpiewać uczyli go: Platania, Miceli i Scafati.

Debiutował w medyolańskim teatrze San-Carlo w operze Micelli „Córka Jefty".

Gandolfi śpiewał już we wszystkich teatrach Europy i Ameryki, przyjmowany wszędzie owacyjnie i serdecznie. Jest to bowiem jeden z tych artystów, który na estradę lub scenę wnosi ze sobą to coś, co od pierwszej nuty czyni go w wysokim stopniu sympatycznym, zjednując najtrudniejszych do zjednania słuchaczy.

Jest jeszcze jeden wielki przymiot, który Gandolfiego stawia w świecie śpiewackim na jednem z miejsc naczelnych. A przymiot to ważny, bo znakomity sposób śpiewania czyli tak zwana „szkoła", podziwiana przez najzjadliwszych krytyków zagranicznych.

Gandolfi nie jest nieznany w Krakowie. Występował on przygodnie w wybornej trupie, która gościła u nas przed kilku laty i pozostawił miłe wspomnienie po sobie.



Hektor Gandolfi.

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

(Ciąg dalszy)

Na czerwonej, jak burak, twarzy Giorczaka odmalował się straszny wyraz przerażenia. Zrozumiał, że śmierć zagląda mu w oczy, czuł, że palce parobka coraz to mocniej zaciskają się naokoło jego szyi. Chciał mówić, chciał prosić mściciela o łaskę, chciał błagać go o litość, ale słowa wykrztusić nie był w stanie i tylko głuche charczenie, przypominające konanie wydobywało mu się z piersi.

Na szczęście dla Giorczaka w chacie znajdowała się jeszcze Hania. Dziewczyna oprzytomniawszy, zobaczyła co się dzieje i zadrżała od strachu, dostrzegła bowiem nad tymi dwoma zmagającymi się ludźmi dwa straszne widma: nad Giorczakiem blady cień śmierci, a nad kochanym Jaśkiem widmo szubienicy...

Nie namyślając się wiele uchwyciła Pogórnego za ręce.

— Puść go Jaśku! puść go! — zawołała błagalnie — puść go, bo jeszcze skona bez świętej spowiedzi i wszystkie jego grzechy spadną później na twoje sumienie!...

Pogórny tknięty tą myślą, cisnął Giorczaka z całych sił o ziemię, aż kości w nim zatrzeszczały.

— Smaruj stąd! — krzyknął — a pamiętaj! że jak się tu jeszcze raz spotkamy, to pewnikiem cię stąd w trumnie wyniosą.

Giorczak wyczerpany, blady z przerażenia, nie dał sobie dwa razy powtarzać tej propozycyi. Chwiejnym krokiem, prawie, że czołgając się, zniknął za drzwiami, a tymczasem Hania posadziła Jaśka na ławie i objąwszy go za szyję, starała się uspokoić wzburzenie młodego parobka.

— Źleś zrobiła Hanko, żeś nie pozwoliła mi udusić tego łajdaka! — rzekł Pogórny. Teraz on będzie się miał na baczności, a i o zemście pewnie pomyśli. Lecz, jak Bóg miły nie radzę mu więcej wchodzić mi w drogę, bo go przed moją ręką ani państwo, ani nic nie uchroni! Ot, mógł już dzisiaj widzieć, co sobie robię z jego wielmożności!

Hania, milcząc, spoglądała w ziemię i jakby przejęta jakiemś złem przeczuciem, z trwogą tuliła się do piersi Janka. On jednak niezauważył jej przestrachu i złożywszy serdeczny pocałunek na ustach ukochanej dziewczyny, podniósł się z ławy.

— No! bywaj zdrowa moja Haniu! bywaj mi zdrowa! muszę się teraz spieszyć z listem ekonoma do miasteczka. A to dwa łotry! Chcieli mnie pozbyć się w ten sposób z wioski, aby tymczasem hulać sobie tutaj, jak im się tylko spodoba! I byłaby się im pewnie udała ta sztuka, gdyby jeno Ścibora nie był mi dał za drogę trzy papierki! Oho! pomyślałem sobie, już coś w tem musi być, kiedy taki kutwa szasta tak groszem. Ostałem się więc i pilnowałem waszej chaty, a żem dobrze zrobił, to teraz wiem ci dopiero!

Hania nie mówiła ani słówka i wciąż tuliła się do Jaśka.

— Bywajżo zdrowa Haniu! — odezwał się znów Pogórny. — Po drodze zabiorę dla Szmula rogacza i na rano przyniosę ci sznur korali, a jaśnie wielmożnego pana nie bój się wcale! Dostał on taką naukę, że go pewnie odeszła już na dziś ochota do amorów.

I młody parobczak uścisnął z całych sił Hanię, a potem chciał ją ucałować serdecznie, gdy nagle dziewczyna wybuchnęła głośnym płaczem.

— Co ci to Haniu, śliczności moje? — zapytał zdziwiony Jaśko — i czegóż ty beczysz dziewucho?!...

— Ej, Jaśku, Jaśku — załkała dziewczyna — nie gniewaj się ty na mnie, ani nie dziw, ale widzi mi się tak, jakbyśmy już ostatni raz w życiu mówili ze sobą!...

— Sen mara, Bóg wiara, Hanko — odpowiedział poważnie parobczak — nie ostatni raz się widzimy, dziewczyno, nie ostatni, bo nas tylko matka-śmierć mogłaby rozłączyć, a do tej chyba i mnie i tobie jeszcze daleko!...

— Tak! — uśmiechnęła się przez łzy Hania - tak Jaśku! śmierć ino potrafi nas rozdzielić, ale ludzie nigdy!...

Jeszcze jeden gorący pocałunek złączył usta obojga młodych; jeszcze raz młody parobczak przycisnął ukochaną do piersi i wreszcie drzwi zamknęły się za nim, a Hania pozostała sama w izbie.

Sama nie sama, bo za towarzyszki pozostały z nią troska o Pogórnego, obawa przed zemstą Giorczaka i złe przeczucia, których się wyzbyć nie mogła.

II.

W dworku ekonoma Ścibory mimo późnej nocy świeciło się jeszcze. W kancelaryi za stołem siedziało dwóch ludzi: gospodarz domu Ścibora, który szerokiemi haustami popijał miód ze stojącego przed nim dzbana i pełnomocnik Giorczak, co wyrwawszy się z niedźwiedzich uścisków Pogórnego w pierwszej chwili schronił się pod opiekuńcze skrzydła swego przyjaciela i wspólnika wszystkich zamachów na cześć ludzką i mienie.

— Hm, hm! — mruczał Ścibora pod nosem — i ktoby to był przypuścił, że ten łotr będzie taki przebiegły! W każdym razie za szczęśliwego możesz się uważać mój drogi, że ta dziewczyna wyrwała cię z rąk tego niedźwiedzia. Ja na twojem miejscu, puściłbym to wszystko w niepamięć i nie rozmazywał dalej tej sprawy.

— W niepamięć? naprawdę? — krzyknął wściekle Giorczak, tłukąc szklanicą przed nim stojącą o stół — o! co to, to nigdy! ja zemszczę się, zemszczę się na tym łotrze! A mam chyba podstawy do tego. Słyszałem przecież doskonale, jak stary Marcin opowiadał tej szelmie o ostatniej sprawce jej kochanka. Cieszcie się, cieszcie jego odwagą i powodzeniem łotry, a mnie to na rękę, bo to jedna jedyna sposobność, żeby pozbyć się tego zbója! Gdy go zamkną w więzieniej celi, dziewka zostanie moją i nie będę potrzebował obawiać się zemsty chłopa, lub przeszkód jakichś z jego strony! A teraz do roboty stary przyjacielu! Ja zaraz wygotuję listy do leśniczego i do żandarmów! Złapiemy ptaszka do sieci i to wówczas, gdy będzie krążył koło swojej zdobyczy!...

W dwie godziny później ruch zrobił się na folwarku.

W kancelaryi ekonoma, za stołem siedział leśniczy i trzej żandarmi, słuchając opowieści Giorczaka, a tymczasem stary Marcin, który przeczuwał coś niedobrego i cały czas kręcił się po folwarku, spiesznie biegł do domu.

— Ej Hanko! — zawołał wszedłszy do chaty — źle z nami dziewucho, ale z Pogórnym jeszcze gorzej! U ekonoma jest leśniczy i trzech żandarmów. Wydało się jakoś, że Jaśko w lesie rogacza ustrzelił i chcą go podobno przyaresztować! Boże ty mój Boże, co to teraz będzie z nami, co będzie z Jaśkiem!...

Dziewczyna zbladła jak chusta, a stary Marcin dalej biadał:

— Wszyscy już mówią o tem, a i wszyscy też gadają, że gdy pan pełnomocnik robił mu z tego po przyjeździe zarzuty, to on się rzucił na niego i chciał go udusić!...

— Łżą jak te psy! — krzyknęła Hania — łżą i tyla. Dusił ci go Jaśko, dusił! to prawda, ale za to, że on was wywołał tatulu, a mnie tu w chacie napadł i chciał pohańbić! ale niedoczekanie ich złodziejów! Nie zamkną oni mego sokoła, oj! nie zamkną!

I to mówiąc Hania pochwyciła szybko sukmanę ojcowską i zarzuciwszy ją na plecy skierowała się do drzwi szepcząc do ojca:

— Ostańcie zdrowi tatulu! ostańcie z Bogiem!...

— A to co? gdzież ty się znów wybierasz dziewucho po nocy! Ostań mi tu w chacie, bo ja nie mam ciebie na wałęsanie się! — huknął stary wieśniak z gniewem spoglądając na córkę — rozumiesz Hanka?!...

Ale dziewczyna schyliła się do nóg ojcu.

— Toż on mój! on mnie pisany tatulu któż-że więc i, a go bronić, jak nie ja! Wiem kędy poszedł i wiem jako nie inaczej mu wracać, aż jak tylko dębiną ponad Wisełką, tam hen przy urwisku. Pójdę tam, zaczekam na niego, a powiem, co tu się dzieje. Niechże nie wpadnie nieświadom niczego, jak te owce na zaczajone wilki! A może ukryć, co będzie trzeba, to i ukryję. Nie bój-ta się tatulu! ja nie latawiec żaden i nie na kochanie gdzieś idę, ale kochanego ratować! Ostańcie z Bogiem!...

Stary Marcin nie rzekł już ani słowa. Uścisnął córkę na pożegnanie, nad głową jej zrobił znak krzyża świętego i siadł na ławie przy kuchni.

Cicho skrzypnęły drzwi chatki i Hania znikła wśród ciemności nocnych. C. d. n.

Dlaczego pan Telesfor ma uprzedzenie do Warszawy?

(Humoreska).

Pan Telesfor jest znakomitym prototypem ziemianina. a jak się sam skromnie zwykł przedstawiać „wieśniaka“.

Okazały ten produkt mazurskiej gleby odznacza się szerokiemi ramionami, grubym karkiem, opaloną twarzą i bujnemi blond wąsami, przy skąpym i silnie — zwłaszcza z przodu – przerzedzonym zaroście włosów. Głos jego ma sympatyczne brzmienie basowe, a oczy posiadają wyraz dobroduszny.

Prócz tych cennych, czysto „ad personam“, przywiązanych zalet, jest ponadto pan Telesfor właścicielem kilkunastu włók ziemi, ładnego dworku w ogrodzie. kilkudziesięciu sztuk żywego inwentarza i t. p. marności świata, które, wziąwszy sumarycznie, zapewniają posiadaczowi małe dochody, ale za to wielkie „poważanie“ w sąsiedztwie, spotęgowane jeszcze i tą okolicznością, że pan Telesfor żyje po dziś dzień w stanie bezżennym, chociaż wiek jego stoi już niestety! — na pograniczu „starokawalerstwa“!

Pan Telesfor jednak nie wiele sobie z tego robi, gospodaruje sam na swoim zagonie (ładny zagon!) wyręczając się w administrowaniu majątkiem częściowo ekonomem i starą klucznicą. (Co to za wyręka – Boże odpuść) a wszystkie ataki pełnoletnich kuzynek, ciotek i stryjenek skierowane na kawalerską jego swobodę po bohatersku i z powodzeniem dotychczas odpiera.

Mieszkając w pobliżu Warszawy ma p. Telesfor dosyć okazyi do odwiedzania jej.

Na pochwałę jego wyznać jednak musimy, że wycieczki do miasta ograniczył w ostatnich czasach do minimum i to tylko w sprawach większej wagi i dotyczących interesów gospodarskich, jak np. zamówienie młockarni w fabryce, uzupełnienie służby dworskiej w którymś z kantorów warszawskich i t. p.

Warszawę uważa pan Telesfor jedynie jako rynek zbytu i zakupów, po za tem jednak Warszawa, jako ognisko ruchu towarzyskiego, środowisko uciech i zabaw, mogłaby wcale dla niego nie egzystować.

Sąsiedzi, a więcej jeszcze sąsiadki (zwłaszcza noszące jeszcze panieńskie nazwiska) twierdzą z ubolewaniem, że pan Telesfor na starość — „dziczeje i dziwaczeje“.

Myliłby się jednak ktoś, sądząc, że pana Telesfora nie pociągała ruchliwa, wesoła Warszawka, i byłby w grubym błędzie, przypisując jego „abominacyę do miasta“ jakimś starokawalerskim chimerom.

Przeciwnie!...

Pan Telesfor unikał z całą świadomością pokus dużego miasta, a zwłaszcza jego kobiet, (ach! te kobiety!) no, a że miał słuszność w tej mierze, przekonałem się sam z jego opowiadania, które. powtarzając tu, na tem miejscu, mam nadzieję i Was Szanowni Czytelnicy przekonać o słuszności poglądów mego przyjaciela...

Otóż jest temu „kilka dobrych lat“, gdy pan Telesfor, znudzony patryarchalną jednostajnością ziemiańskiego żywota, postanowił sobie, ot tak, bez żadnej ważnej przyczyny, po prostu celem „przewietrzenia się“ odwiedzić Warszawę.

Pewnego dnia zatem znalazł się na bruku miejskim i odpowiednio wystrojony, odświeżony i wygolony przechadzał się wieczorem w najruchliwszym punkcie „Alei“, rzucając i odbierając mniej lub więcej zabójcze spojrzenia promenujących piękności.

Właśnie w przeciwnym kierunku, w jakim z nonszalancyą dobrze „robionego“ światowca, posuwał się nasz bohater. zbliżał się w wolnem całkiem tempie odkryty pojazd na gumach, a w nim!...

(Przy tych słowach twarz opowiadającego „wieśniaka“ przybrała wyraz nieziemskiego zachwytu).

– A w nim: dama, w każdem znaczeniu dama: począwszy od maleńkiego pantofelka, na ażurowej czarnej pończoszce, opartego niedbale o podnóżek, skończywszy na wspaniałej blond-koafiurze – przykrytej zalotnie japońskim kapeluszem z olbrzymiemi piórami.

Pan Telesfor „zdębiał“, jak to mówią, z podziwu i przystanął mimowoli.

Zdziwienie jego wzmogło się jeszcze bardziej gdy „urocze zjawisko“ utkwiło w nim radosno-pytające spojrzenie, dało znak stangretowi do zatrzymania koni i na głos zawołało z entuzyazmem:

– Alfredzie, mój kochany Alfredzie! — robiąc mu równocześnie miejsce obok siebie w powozie...

Poczciwy wieśniak był tak tem wszystkiem zdumiony. tak zresztą mile w dumie swej połechtany. że kompletnie zapomniał, czy nie chciał o tem pamiętać, iż całe życie nosił imię innego patrona.

Nie namyślając się wcale — z rezolutnością. cechującą dawniej jego czyny. znalazł się jednym susem obok pięknej nieznajomej. (a może i znajomej).

I podczas gdy przechodnie czynili mniej lub więcej pochlebne uwagi o szczególniejszem zachowaniu się tej pary. tajemnicza piękność uściskała czule jego dłoń i. nie wypuszczając jej już więcej ze swych rączek. krzyknęła stangretowi:

— Do Stępkowskiego!...

Gdy powóz ruszył, piękna nieznajoma. przytuliwszy się i patrząc z zachwytem w jego oczy. zarzuciła pana Telesfora tysiącem pytań:

— Gdzie bawił tak długo? (zapewne zagranicą!) — Dlaczego wtedy przed 3 miesiącami, znikł tak nagle z horyzontu i wreszcie czy często myślał o swojej małej słodkiej Antesieczce?

Pan Telesfor zgłupiał zrazu kompletnie, ale niezadługo z wrodzoną sobie bystrością umysłu zoryentował się w sytuacyi.

— Jestem tak podobny do jakiegoś tam Alfreda, zapewne jej przyjaciela. że bierze mnie za niego!... Szczęśliwa pomyłka! – dodał w duchu uradowany. postanawiając zarazem nie wyprowadzać z błędu interesującej kobiety. ...Oby się tylko czemś nie zdradzić!...

Na razie nie wiedząc. co odpowiedzieć, i ogółem co mówić. całował z galanteryą jej rączkę.
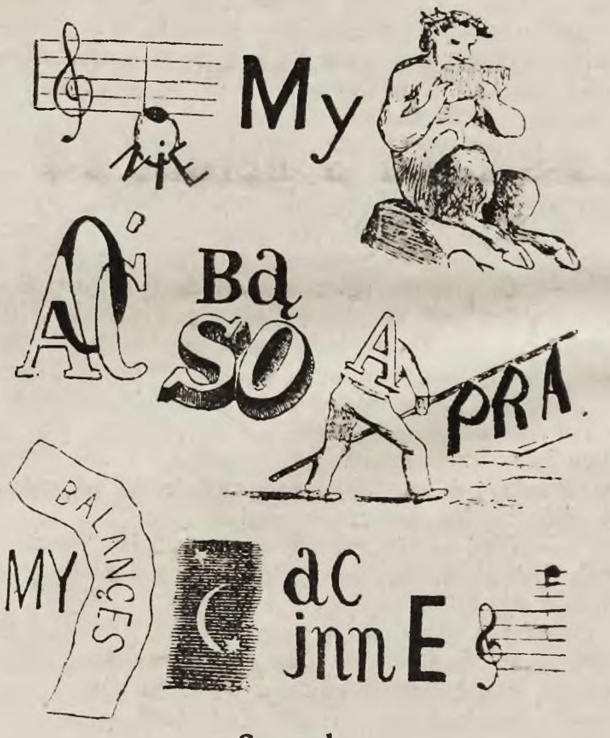
— Czy wiesz mój skarbie, że sprzedałam Olzę? – rzekła piękność po chwili.

Pan Telesfor stracił nieco na kontenansie, mimo tego zawołał zdziwiony:

— Tak?!... I dlaczegóż sprzedałaś tą biedną Olzę? C. d. n.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarada.

Czy na świecie *pierwsze-drugie*,
Czy maj nęci czarem wiosny,
Na cześć *całej* ziemia nuci
Nieustanny hymn radosny;
I choć nieraz *trzecia-czwarta*
Stawia dla niej się na kartę,
Bez tej *całej* jednak życie
Byłoby niewiele warte.

Logogryf

Z sylab: a, ar, bro, ce, ce, cym, das, dor, dy, dy, e, el, ga, ga, ho, hof, i, i, ka, kar, la, lin, lud, ło, ło, mi. mi, mi, nau, neu, nie. non. o. pa, pad, pad, pal, po. po, ta, ty, wie, wik, wo. zar, ze, żbie — ułożyć 16 wyrazów tak, aby litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzyły tytuł komedyi. końcowe zaś, czytane w tymże kierunku, imię i nazwisko jej autora.

Znaczenie wyrazów:

1. Żeglarstwo.
2. Kamień szlachetny.
3. Naród germański.
4. Imię męskie.
5. Bohater grecki z Teb.
6. Zwierzę.
7. Wyspa przy ujściu Odry.
8. Członek rodu panującego niegdyś na Węgrzech.
9. Roślina warzywna.
10. Imię żeńskie.
11. Nazwa zamku i miasta w pobliżu Wiednia.
12. Postać chłopięca z mitologii.
13. Miasteczko w Galicyi.
14. Dwie rzeki wpadające do Adryatyku, połączone spójnikiem.
15. Panujący w państwie rzymskiem.
15. Nazwisko setnika kozackiego, którego usiekł pan Zagłoba.

Arytmogryf.

Liczby zamienić literami tak. aby środkowe litery, czytane w poziomym i pionowym kierunku. utworzyły imię i nazwisko literata polskiego.

9
5 **22** 5
17 5 **16** 9 5
7 2 1 **5** 16 9 5
20 11 4 1 **2** 17 18 7 2
1 18 5 16 2 **3** 8 5 2 3 5
12 15 5 11 11 9 **2** 3 2 1 15 7 16
5 16 2 4 3 2 2 **17** 23 2 9 6 11 12 9
9 22 16 5 2 3 2 17 15 4 5 16 7 20 11 12 9
4 3 22 18 21 16 10 **4** 13 9 22 16 9 1 20
1 21 10 1 15 8 **5** 21 15 5 16 9 5
16 5 16 12 9 **16** 8 1 12 9 16
12 11 1 16 **7** 19 7 16 10
19 15 7 **20** 5 15 14
7 15 **11** 4 5
11 **12** 9
9

Znaczenie wyrazów:

1. Samogłoska.
2. Wódz turecki.
3. Imię żeńskie zdrobniałe.
4. Część świata.
5. Jeden z przymiotów Boskich.
6. Nazwa samodzielności kobiet.
7. Nazwiska dwóch konsulów rzymskich. połączone spójnikiem.
8. Dwaj pisarze polscy.
9. Imię i nazwisko literata polskiego.
10. Dwa imiona męskie.
11. Dwie muzy.
12. Dwa miasta w Chinach.
13. Historyk grecki.
14. Przylądek w Ameryce.
15. Miasto na Białorusi.
16. Rodzaj łyżew.
17. Samogłoska.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

„W gościnie u Turków“ Lejkina.

Rozwiązania z Nru 5.

Rebus: Dobre lub złe imię, oto wszystko. co pozostawiamy po sobie na ziemi.

Szarady: I. Kobiety. II. Pantomina.

Logogryf: Radomsk — Kowno.

Arytmogryf: Jang-Hung-Tsy.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: Ulrich. Gawlicki, Nekwapil, Szwajlik. Ramułtowa, Barański, Winiarska, Śnieżkowa, Kossowski. Łaszkiewicz, Stadnik, Chłopicka, Władysław i Janina Jagiełłowiczowie, Fiałkiewicz. Arbesbaner. Fuchs. Wybranowska, Kowalski, Mika. Domain, Huzarowa. Wolańska, Angielczykowski, Cetera, Gadomski. Habermann, Starowieyski. Dziedzicowa, Josefert. Walter. Żabka. Dembiński. ks. Pos, Śliwa. Krzyżanowski. Mokrzycka, Duszyński, Kamiański, Giorczak Marya.

Nagrodę przez losowanie otrzymała pani M. Wybranowska w Uszkowicach. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Wna H. Mokrzycka: Wszyscy ci Prenumeratorzy. którzy nadeślą na czas rozwiązanie i dobre. są uwidoczniani w spisie. Naturalnie tych, którzy przysyłają zupełnie błędne, nie zamieszczamy. Nie byłoby bowiem sprawiedliwem, aby ci, którzy nadesłali błędne rozwiązanie lub nie wszystkie rozwiązali. brali także udział w losowaniu wraz z tymi, którzy zadali sobie tyle pracy, aby trafnie rozwiązać.

Wna Marya Cetera: Na razie jeszcze nie możemy, spodziewamy się jednak, że w marcu już będziemy dawali pewne wskazówki co do mód.

Wna Aniela Huzarowa: Kosztować będzie 4 korony.

Wna Marya Ginet: Prosimy o łaskawe podanie bliższego adresu. celem wytłómaczenia, iż jest Pani w błędzie. W drobnej tej rubryczce niepodobna.

Telefon Nr. 308.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.